

Sarah Morgan

Zimowy prezent

*Tłumaczyła
Ewa Gorczyńska*

PROLOG

— Mamusiu, napisałam list do Świętego Mikołaja.

Bryony otuliła córeczkę kołdrą i włączyła różową lampkę nocną. Ciepłe światło zalało pokój, wydobywając z mroku stertę pluszowych zabawek i kostiumów na dziecięce bale.

— Kochanie, jest dopiero listopad. Nie za wcześnie na taki list?

— W sklepach są już świąteczne dekoracje. Widziałam, jak byłam z babcią w mieście.

Bryony podniosła z podłogi kostium wróżki.

— Sklepy to co innego, Lizzie. — Odwiesiła kostium do szafy. — Zawsze wcześniej zaczynają sprzedawać świąteczne rzeczy. Do Gwiazdki zostało jeszcze mnóstwo czasu.

— Ale ja już wiem, co chcę dostać, więc napisałam od razu. — Lizzie sięgnęła po syrenkę, z którą zawsze sypiała. — A ten prezent jest taki niezwykły, że Święty Mikołaj może potrzebować trochę czasu, żeby go znaleźć.

— Niezwykły? — jęknęła Bryony i wzięła książkę, którą od tygodnia czytała córce na dobranoc. — Zdradź mi tajemnicę — zachęciła dziewczynkę. — Co to takiego? Kucyk?

Zrzuciła buty i ułożyła się w nogach łóżka. Najbardziej lubiła tę porę dnia. Lizzie, ubrana w piżamkę, pachniała szamponem i wyglądała tak niewinnie jak małe

dziecko, a me rezolutna, szybko dorastająca siedmioletka.

— Nie, to coś większego. — Jasne włosy dziewczynki układały się miękko wokół buzi zaróżowionej po kąpielu.

— Coś większego niż kucyk? Lizzie, przerażasz mnie. A co będzie, jeśli Święty Mikołaj nie znajdzie twojego wymarzonego prezentu?

— Znaj dzie — z dziecinną wiarą zapewniła córka. — Sama mi kiedyś mówiłaś, że Mikołaj przynosi wymarzone prezenty grzecznym dzieciom.

— Tak mówiłam? — Bryony postanowiła w duchu bardziej uważać na swoje słowa. — Ale to zależy od tego, o co prosisz — wyjaśniła, a twarzyczka Lizzie posmutniała.

— Mówiłaś, że jeśli dziecko jest greczne, to zawsze dostaje od Mikołaja to, o co prosi.

— Mikołaj na pewno stara się, jak tylko potrafi — odrzekła pojednawczo. Miała wielką nadzieję, że marzenie córki nie okaże się całkiem niemożliwe do spełnienia. Jako lekarz zarabiała nieźle, ale samotnie wychowywała dziecko, więc musiała oszczędnie gospodarować pieniędzmi. — Pokażesz mi ten list?

— Już go wysłałam.

— Wysłałaś? — Zaskoczona spojrzała na córkę. — To niemożliwe. Kiedy?

— Jak poszłyśmy z babcią na pocztę. Pani w okienku powiedziała, że trafi prosto do Laponii, tam gdzie mieszka Święty Mikołaj.

— Aha... Czyli już go nie zobaczę. — Bryony uśmiechnęła się blado. To oznacza, że nie będzie mogła namówić Lizzie na zmianę zamówionego prezentu, który pewnie okaże się bardzo drogi i niemożliwy do zdobycia tu na prowincji, w Krainie Jezior.

Bryony czuła, że czeka ją wyprawa do Londynu, chyba że Internet okaże się pomocny.

— Listu już nie zobaczysz — potwierdziła Lizzie.

— A uchylisz choć rąbka tajemnicy?

— Wiem, że ten prezent tobie też się spodoba.

— Czy to coś, co brudzi w domu?

— Nie.

— Coś różowego? — Córka uwielbiała ten kolor.

Lizzie potrząsnęła głową. Oczywiście błyszczały.

— Nie, to nie jest różowe.

Nie? Lekko zdenerwowana Bryony pocieszała się, że być może babci udało się zerknąć na list wnuczki. Inaczej nie będą miały pojęcia, co dziewczynka pragnie znaleźć pod choinką.

— Bardzo chciałabym wiedzieć, co to takiego, skarbie — powiedziała lekkim tonem, szukając w książce miejsca, w którym poprzedniego dnia skończyły lekturę. Zastanawiała się, czy zdąży jeszcze odzyskać list, zanim zostanie przesłany dalej.

— No dobrze, powiem ci, ponieważ to także będzie prezent dla ciebie.

Bryony wstrzymała oddech. Miała tylko nadzieję, że to nie będzie żadne zwierzę. Przy tak szybkim tempie życia nie znalazłaby czasu na opiekę nad domowym pupilem.

Spojrzała na słodką twarzyczkę córki i poczuła, że zalewa ją fala miłości. Bardziej niż na czymkolwiek innym zależało jej na szczęściu córki, więc jeśli nawet ma to oznaczać sprzątanie króliczej klatki...

— Cokolwiek to jest, Mikołaj na pewno ci to przyniesie — powiedziała i czule pogłaskała córeczkę po jasnych lokach. — Bardzo cię kocham.

— Ja też cię kocham, mamusiu. — Lizzie uniosła się w pościeli i objęła matkę, a Bryony poczuła, że coś ściska ją w gardle.

— A więc co Mikołaj ma ci przynieść na Gwiazdkę? — zapytała z uśmiechem, wyswobodziwszy się z uścisku dziewczynki.

Lizzie opadła na poduszkę. Na jej twarzy pojawił się pełen zadowolenia uśmiech.

— Tatusia — oznajmiła uszczęśliwiona. — W tym roku na Gwiazdkę chciałabym dostać tatusia. I wiem, że Mikołaj mi go przyniesie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

— Wiozą nam półroczną dziewczynkę z zaburzeniami oddechu. — Bryony odłożyła słuchawkę telefonu bezpośrednio łączącego oddział nagłych wypadków z dyspozytornią pogotowia ratunkowego, i rzekła do pielęgniarki: — To już dziś trzeci taki przypadek. Nicky.

— W listopadzie to normalne. — Pielęgniarka skrzywiła się lekko. — Jedna infekcja wirusowa za drugą. A kiedy nastaną mrozy, będzie jeszcze gorzej. Ludzie przewracają się na lodzie. W zeszłym roku mieliśmy jednego dnia czterdzieści dwa złamania nadgarstka.

Bryony roześmiała się.

— Naprawdę?

— No. I wcale byś się nie śmiała, gdybyś miała wtedy dyżur — odrzekła poważnie.

Kiedy weszły do izby przyjęć, usłyszały syrenę karetki, a chwilę później drzwi się otworzyły i ratownicy wwieźli do środka dziecko.

— Natychmiast zabieramy ją na reanimację — zdecydowała Bryony, kiedy tylko spojrzała na małą pacjentkę. — Co wiemy o jej przypadku?

— Przez kilka dni była przeziębiona i zakatarzona, miała skoki temperatury — wyjaśniał ratownik. — Przystała przyjmować płyny, a w nocy niespodziewanie zaczęła się dusić. Matka to zauważyła i zadzwoniła po nas. Teraz podaje dane dziecka w rejestracji.

Bryony zerknęła na Nicky.

— Rozbierzmy ją i zbadajmy. Trzeba ją czym prędzej podłączyć do monitora akcji serca i sprawdzić nasycenie krwi tlenem.

— Bardzo szybko oddycha — stwierdziła pielęgniarka, rozpinając zatrzaski na niemowlęcych śpioszkiach. — Biedne maleństwo, bardzo się męczy. Chyba musimy poprosić o pomoc Jacka.

Wokół ust dziewczynki pojawił się siny odcień.

— Wezwij go — poleciła Bryony. — Z dzieckiem jest coraz gorzej.

Wiedziała, że ta prośba sprawi Jackowi wielką satysfakcję, ale w tej chwili o to nie dbała. Ufała jego opinii, nie tylko dlatego, że był konsultantem, a ona zwykłym lekarzem z zaledwie czterema miesiącami praktyki. Talenty medyczne Jacka Rothwella budziły w niej niekłamany podziw.

Nicky rozebrała małą pacjentkę i zadzwoniła po Jacka. Bryony tymczasem zbadła i osłuchiwała dziecko. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła przed sobą Jacka. Patrzył na nią leniwym, jakby lekko znudzonym wzrokiem, który doprowadzał kobiety do szaleństwa. Bryony nie stanowiła wyjątku.

Znała Jacka od dwudziestu dwóch lat. ale nieodmiennie kolana się pod nią uginały na jego widok. Często się zastanawiała, dlaczego tak reaguje. Czy sprawiał to jego seksowny uśmiech? Niebieskie oczy? Szerokie ramiona? A może poczucie humoru?

Kiedy minionego lata rozpoczęła praktykę na oddziale nagłych wypadków, niepokoiła się, jak będzie przebiegać współpraca z człowiekiem, którego znała całe życie. Wszystko jednak ułożyło się dobrze. Szybko odkryła, że

Jack w pracy jest taki sam jak w życiu prywatnym — inteligentny, pewny siebie i niebywale pociągający.

— Potrzebujesz pomocy, Blondi? — W jego niskim głosie słychać było nutkę rozbawienia.

Blondi...

Bryony uśmiechnęła się. Pierwszy raz ją tak nazwał, kiedy miała pięć lat. Teraz skończyła dwadzieścia siedem, a on nadal się tak do niej zwracał. Raz, jako nastolatka, ufarbowała włosy na ciemny kolor, ale to nic nie zmieniło. Lubiła jego żartobliwe zaczepki, dzięki temu czuła się wyróżniona. A poza tym mogła mu odpłacić pięknym za nadobne.

— Ta dziewczynka jest bardzo chora.

— Pewnie dlatego przywieźli ją do szpitala — odrzekł spokojnie, sięgając po jej stetoskop. Choć mówił lekkim tonem, uważnie przyglądał się dziecku, oceniając jego stan i zastanawiając się nad dalszym postępowaniem.

Bryony patrzyła na niego z podziwem i sporą dozą zazdrości. Miał niezawodny instynkt. Gdyby ktoś jej bliiski kiedykolwiek znalazł się na oddziale nagłych wypadków, chciałaby, żeby trafił pod opiekę Jacka. Miał bystry umysł i zadziwiającą zdolność stawiania trafnej diagnozy, nawet na podstawie bardzo skąpych informacji. Podczas ostatnich czterech miesięcy więcej się od niego nauczyła niż odjakiegokolwiek innego lekarza, z którym miała styczność w pracy.

— A więc co zauważyłaś, Blondi? Oprócz tego, że przywieziono nam małą pacjentkę.

Odstąpił o krok, a Nicky przenocowała do piersi dziewczynki przewody.

— Dziecko jest sine. ma zapadnięte przestrzenie międzybrowe i ciężko oddycha — odrzekła natychmiast

Bryony. — Częstość oddechów — sześćdziesiąt na minutę. To bardzo ją wyczerpuje.

Jack skinął głową i zerknął na ekran monitora, gdzie pojawiły się dokładne dane na temat stanu dziecka.

— Ma ostre zapalenie oskrzelików. Musimy szybko podłączyć ją do kroplówki — rzekł spokojnie. Wyciągnął rękę do Nicky, a ta szybko podała mu potrzebny sprzęt. Przekazał go Bryony. — Pokaż, co potrafisz.

— Ja? — Spojrzała na drobne kończyny dziewczynki i potrzęsęła głową. — Wolałabym, żebyś ty to zrobił.

Wiedziała, że dziecko jest bardzo chore i wątpiła, czy uda jej się odpowiednio wkłuć za pierwszym razem. Jack na pewno to potrafi. Spojrzał na nią poważnie.

— Przestań wątpić w swoje umiejętności — rzekł łagodnie, jakby czytał w jej myślach. — Zrób to. — Nadal się wahała. — Za trzy miesiące będziesz pracowała na pediatрії, gdzie niemal codziennie trzeba pobierać krew. Musisz zdobyć doświadczenie. Do dzieła.

Bryony nadal stała niezdecydowana. Jack zmierzył ją drwiącym spojrzeniem.

— Mam cię potrzymać za rączkę? — zapytał rozbawiony, a ona zaczerwieniła się. Jak to możliwe, że udaje mu się zachować spokój? Znała odpowiedź na to pytanie. Podczas pracy na tym oddziale przekonała się, że w trudnych sytuacjach panika szkodzi najbardziej, a spokój i zrównoważenie Jacka miały zbawienny wpływ na resztę personelu. W rezultacie wszyscy działali jak zgrany, sprawny zespół.

Zagryzła wargę i uniosła drobną rączkę dziecka.

— Odpręż się. Nie ma pośpiechu. — Jack zacisnął palce wokół nadgarstka dziewczynki. — O, tu możesz się wkłuć. Jak nazwać blondynkę, która ma jedną półkulę mózgową?

Bryony skupiła się na rączce dziecka. Znalazła maleńką, niewyraźną żyłkę. Trafienie igłą w tak niewielki cel wydało jej się niemożliwe.

— Osobą szczerze obdarowaną przez naturę! — odpowiedział sobie Jack. — Wszystko będzie dobrze. Mała ma dobre żyły. Przestań się wahać, po prostu to zrób.

Posłuchała go i od razu wbiła igłę w odpowiednie miejsce. Poczowała ulgę i wielkie zadowolenie.

— Udało się. — Nie mogła ukryć rozpierającej ją dumy. Jack uśmiechał się do niej ciepło.

— Przecież natura szczerze cię obdarowała. Potrzebujesz tylko więcej pewności siebie. Jesteś dobrym lekarzem. Uwierz w siebie. — Przez chwilę patrzył jej w oczy. a potem zwrócił się do Nicky. — Podajmy dziecku trochę nawilżonego tlenu.

Uwierz w siebie. Cóż, w zasadzie wierzyła w siebie, ale bała się, że popełni jakiś błąd. Jack Rothwell najwyraźniej nigdy niczego się nie bał. Po prostu robił, co należy. I za każdym razem mu się udawało.

— Nicky. idź na pediatrię i sprowadź tu kogoś. Ta mała jest w złym stanie, trzeba przyjąć ją na oddział — polecił.

— Sądysz, że to zapalenie oskrzelików?

— Bez wątpienia. — Zdusił ziewnięcie i spojrzał na nią przepraszająco. — Wybacz. Pół nocy nie spałem.

— Ładna była? — Tym razem w głosie Bryony zabrzmiała lekka kpina.

— Wspaniała. — Posłał jej promienny uśmiech, od którego miękły jej kolana. — Ma osiemdziesiąt cztery lata i złamane biodro.

— Zawsze lubiłeś starsze.

— To prawda. — Zerknął na monitor. — Zwłaszcza gdy są sprawne ruchowo.

Kiedy omawiali możliwe przyczyny złego stanu małej pacjentki i dalsze postępowanie, drzwi się otworzyły i do sali. w towarzystwie ratowników, weszła wysoka kobieta w ciepłym płaszczu. Twarz miała pobladła, włosy w nieładzie.

— Ella⁷ — Podbiegła do wózka, na którym leżało dziecko. Z niepokojem spojrzała na Jacka.

Bryony wcale to nie zirytowało. Była do tego przyzwyczajona. Kobiety zawsze patrzyły na Jacka, nawet jeśli jeszcze nie wiedziały, że jest konsultantem na oddziale.

Działo się tak nie tylko ze względu na jego urodę aktora filmowego. Bijący od niego urok osobisty i pewność siebie przyciągały kobiety jak magnes. Czuło się, że w każdej sytuacji wie, co robić.

— Jestem doktor Rothwell. — Podał kobiecie dłoń i dodał jej otuchy uśmiechem. — Razem z doktor Hunter zajmujemy się Ellą.

Kobieta nawet nie zerknęła na Bryony.

— Od kilku dni jest chora, ale myślałam, że to tylko przeziębienie. Pogorszyło się tak nagle. — Uniosła drżącą rękę do szyi. — Nie chciała nic pić, dostała gorączki, a dziś w nocy zaczęła tak dziwnie oddychać. Przeraziłam się.

Jack skinął głową ze zrozumieniem.

— Infekcje u takiego małego dziecka zawsze wyglądają groźnie — wyjaśnił. — Ella złapała gdzieś paskudnego wirusa, który zaatakował jej drogi oddechowe.

Kobieta jeszcze bardziej pobladła i spojrzała na drobne ciało córki.

— Ale wyzdrowieje, prawda?

— Musimy ją zatrzymać w szpitalu — odrzekł Jack. Do sali właśnie wszedł lekarz z pediatrii. — To jest doktor

Armstrong. Zaraz zbada Ellę. a potem przeniesiemy ją na oddział dziecięcy.

— Czy będę mogła z nią zostać?

— Oczywiście. Możemy do sali wstawić dla pani leżankę.

Widząc, że Jack nie zdoła się uwolnić od stroskanej matki, Bryony opisała pediatrze stan dziecka.

Lubiła Darida Armstronga. Był ciepły, sympatyczny i kilka razy próbował się z nią umówić. Oczywiście za każdym razem odmawiała. Z zasady nie umawiała się z mężczyznami.

Zagryzła wargę, przypominając sobie list córki do Świętego Mikołaja. Niezłe wyzwanie dla kobiety, która nie chadza na randki. Znów skupiła się na małej pacjentce. Przekazała Davidowi notatki o jej chorobie i patrzyła, jak pediatra starannie ją bada.

To przemiły człowiek, pomyślała ze smutkiem. Dlaczego więc nie chcę przyjąć jego zaproszenia i posunąć naszej znajomości o krok dalej?

Podszedł do nich Jack; wysoki, dobrze zbudowany i tak przystojny, że zapierało jej dech w piersi. Przypomniała sobie, dlaczego nie umawia się z mężczyznami.

Z nikim się nie spotyka, ponieważ odkąd skończyła pięć lat. kocha się w Jacku. Lizzie była efektem jedynej, nieudanej próby zapomnienia o nim. Poza tym w całym swoim dorosłym życiu nigdy nawet nie zauważała istnienia innych mężczyzn. A to świadczy tylko o mojej głupocie, pomyślała ze złością.

Owszem, Jack jest wspaniałym lekarzem, ale zupełnie nie nadaje się na towarzysza życia. Z kimś takim można romansować, ale nie należy się w nim zakochiwać, jeśli ma się choć odrobinę zdrowego rozsądku. Jack

nie zamierzał się z nikim wiązać uczuciowo ani zakładać rodziny.

Bryony oczywiście nie miała ani krzty zdrowego rozsądku. Całe szczęście, że udawało jej się ukrywać swoje uczucie. Jack nawet nie podejrzewał, że od wczesnego dzieciństwa jest obiektem jej marzeń. Kiedy koleżanki śniły o księciu z bajki, ona śniła o Jacku. Nastoletnie przyjaciółki zadurzały się w kolegach ze szkoły, ona nadal marzyła tylko o Jacku. Robiła to również teraz, jako dorosła kobieta.

Stan dziecka w końcu się ustabilizował i można było je przenieść na pediatrię. Bryony zaczęła przygotowywać salę do przyjęcia kolejnego pacjenta, ale myślami błądziła gdzie indziej.

— Wszystko w porządku⁷ — David Armstrong spojrzał na nią badawczo. — Jesteś jakaś nieobecna.

— Przepraszam. Zamyśliłam się.

— To bardzo ciężka praca dla blondynki — stwierdził żartobliwie Jack.

— Dlaczego mężczyźni są jak konto bankowe? — zapytała go słodkim głosem. — Ponieważ nikt się nimi nie interesuje, kiedy nie przynoszą korzyści finansowych.

Darid zrobił zdziwioną minę, ale Jack tylko się roześmiał.

— W takim razie dobrze, że mam mnóstwo pieniędzy. — Podszedł do niej i zawiesił jej stetoskop na szyi.

Przez chwilę patrzył na nią śmiejącymi się oczami, a ona stała jak zahipnotyzowana. Był tak blisko, z łatwością mogła go dotknąć. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić.

Jack był jej najlepszym przyjacielem.

Rozmawiali, śmiali się, spędzali bardzo dużo czasu razem. Nigdy nie posunęli się dalej.

Odezwał się pager Jacka.

— Obowiązki. Jeśli dasz sobie radę, to już pójdę.

— Ciężko będzie, ale wytrzymam — odrzekła sarkastycznie. W odpowiedzi mrugnął do niej leniwie, a pod nią ugięły się kolana, jakby były z waty.

— W takim razie zobaczymy się później. Wpadniesz dziś do pubu?

— Tak. Mama zajmie się Lizzie.

Wieczorem wszyscy członkowie górskiego pogotowia ratowniczego mieli się spotkać w pubie Pod Pijanym Lisem, żeby uczcić urodziny brata Bryony.

— Świetnie. Do zobaczenia — pożegnał się i wyszedł. Darid spojrzał w ślad za nim.

— Nie drażnią cię te dowcipy o blondynkach i to, że nazywa cię Blondi?

Spojrzała na niego rozbawiona.

— Nazywa mnie tak od dwudziestu dwóch lat. To tylko żarty.

— Znasz go od tak dawna? — zdziwił się.

— I nadal jestem przy zdrowych zmysłach. To niesamowite, prawda? — odrzekła lekkim tonem. — Jack chodził do tej samej szkoły co moi bracia, i więcej czasu spędzał u nas niż w swoim domu. — Głównie dlatego, że jego rodzice rozwodzili się długo i bardzo nieprzyjemnie.

— Jest dla mnie jak rodzina. Medycynę też studiował razem z moimi braćmi.

Nicky właśnie weszła do sali i usłyszała ostatnie zdanie.

— Założę się, że wszyscy trzej nieźle rozrabiali — stwierdziła.

— Nie wątpię.

— Dlaczego nie skojarzyłem tego wcześniej? — David spojrział na nią zaskoczony. — Tom Hunter, konsultant położnik, to twój brat?

— Zgadza się. A drugi. OHver, jest lekarzem pierwszego kontaktu. Kiedy skończę staż, będziemy praktykować razem. To spotkanie w pubie jest na jego cześć. Obchodzi dzisiaj urodziny.

Prawdę mówiąc, członkowie zespołu pogotowia górskiego nie potrzebowali żadnego pretekstu, by się spotkać. W pubie spędzali praktycznie cały czas wolny od pracy, treningów i dyżurów.

— Ze też wcześniej nie skojarzyłem, że Tom Hunter to twój brat. — David potrząsnął głową.

— Nie znamy się zbyt dobrze — odrzekła Bryony.

— A czyja to wina? — spytał cicho lekarz. — Już nieraz chciałem się z tobą umówić.

A ona ciągle odmawiała. Mając świadomość, że Nicky może słyszeć ich rozmowę. Bryony podała Davidowi dokumentację Elli.

— Masz. Wyniki niektórych badań małej. Mam nadzieję, że jej stan szybko się polepszy.

— Dzięki. — Zawahał się, ale tylko posłał jej przyjazny uśmiech i wyszedł z sali.

— Podobasz mu się — stwierdziła krótko Nicky.

— Wiem — odrzekła Bryony z westchnieniem.

— Tylko mi nie mów, że jesteś zakochana w Jacku, tak samo jak wszystkie inne kobiety na naszej planecie.

Bryony bardzo się starała zachować neutralny wyraz twarzy. Nigdy nikomu nie zdradziła, co czuje do Jacka, więc teraz też tego nie robi.

— Jack to przyjaciel. Zbyt dobrze go znam. żeby się w nim zakochać.

— W takim razie masz więcej zdrowego rozsądku niż cała reszta babskiego rodu. Wszystkie moje koleżanki się podkochują w nim. Jest bogaty, wolny i diabelnie przystojny. Większość z nas chętnie wydrapałaby ci oczy za to, że jesteś z nim tak blisko. Podobno pół życia spędza w twojej kuchni.

Bryony uśmiechnęła się. Kiedy jeszcze mieszkała u rodziców. Jack był tam stałym gościem, a gdy przeprowadziła się do własnego domu. wpadał tak często, że stał się niemal częścią rodziny.

— Tylko nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego — odrzekła ze śmiechem. — Zwykle przychodzi po to, żeby mi opowiedzieć o swoim najnowszym podboju. Przyjaźni się z moimi braćmi, jest ojcem chrzestnym mojej córki, a na dodatek od lat razem pracujemy w pogotowiu górskim. Zapewniam cię, że w naszej znajomości nie ma ani krzty romantyzmu.

Niestety.

— Brzmi to całkiem nieźle. Wiele bym dała za to, żeby przesiadywał w mojej kuchni. Ten facet jest boski.

— Nicky, nie zapominaj, że masz męża.

Pielęgniarka uśmiechnęła się szeroko.

— Nie zapominam. Ale poziom hormonów nadal mam w normie, więc reaguję w naturalny sposób.

Bryony zaczęła porządkować sprzęt medyczny. Nie było to jej obowiązkiem, ale chciała w ten sposób uniknąć dalszej rozmowy.

Łączyła ją z Jackiem bliska przyjaźń, ale nawet ona nie była w stanie złagodzić bólu, jaki czuła w sercu.

Nagle do sali zajrzał jeden z ratowników.

— Czy dziewczynka została już zabrana na oddział?
Przyszedł jej ojciec.

— Porozmawiam z nim — zaproponowała Bryony, szczęśliwa, że nie musi ciągnąć pogaduszek o Jacku.

Po korytarzu krążył niespokojnie wysoki mężczyzna w garniturze.

— Jestem doktor Kunter — przedstawiła się Bryony.

— To ja zajmowałam się Bili.

— Boże... — Mężczyzna wziął głęboki oddech, najwyraźniej starając się zachować spokój. — Przyjechałem, jak tylko Pam mnie zawiadomiła. Miałem spotkanie aż w Penrith. a na dodatek dziś na drogach panuje duży nich.

Bryony uśmiechnęła pokrzepiająco i spokojnie opisała stan dziecka. Starła się powiedzieć całą prawdę, ale tak, by nie wprowadzić mężczyzny w jeszcze większe przerażenie.

— A więc jest na pediatrii? — Westchnął głęboko. — Przepraszani, wiem, że panikuję, ale to moja córeczka i...

— Rozumiem doskonale. Jest pan ojcem i ma pan prawo się martwić. — Położyła mu rękę na ramieniu.

— Człowiek nie wie, co to strach, dopóki me urodzą mu się dzieci. A pani ma dziecko?

— Tak, też córeczkę.

Uśmiechnęli się do siebie ze zrozumieniem.

— Wiąż między córką a ojcem to coś szczególnego, prawda?

Bryony zeszywniała, ale szybko się opanowała.

— Tak, to coś zupełnie wyjątkowego — odrzekła z wysiłkiem. Miała wrażenie, że ktoś wylał na nią kubeł zimnej wody.

Zaprowadziła ojca Elli na pediatrię, stanęła w drzwiach i patrzyła za nim, czując ucisk w żołądku.

Kochała Lizzie tak bardzo, że rzadko rozmyślała o braku pełnej rodziny. Wokół niej było kilku mężczyzn, którzy wypełniali lukę spowodowaną nieobecnością ojca. Pocieszała się w duchu, że to wystarczy. Jednak najwyraźniej Lizzie tak nie sądziła, czego dowodem był jej list do Mikołaja.

Dziewczynka chciała prawdziwego ojca. Bryony jęknęła i ukryła twarz w dłoniach. Jak ma znaleźć kandydata na ojca. skoro odkąd zaszła w ciążę, z nikim się nie spotyka?

Opuściła ręce, pełna poczucia winy. Z powodu skrywanego uczucia do Jacka wykreśliła mężczyzn ze swojego życia. Ani razu nie pomyślała, jak to może się odbić na Lizzie.

Nagle podjęła decyzję.

Przestanie marzyć o Jacku. Nie będzie zwracała uwagi na jego szerokie ramiona i piękny uśmiech. W ogóle nie będzie o nim myśleć. Zacznie się umawiać.

Postara się o ojca dla Lizzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Bryony zatrzymała się przed wejściem do pubu. W mroźnym powietrzu z jej ust wydobywały się białe obłoczki. Ze środka dobiegał śmiech i dźwięki muzyki. Uniosła głowę i otworzyła drzwi. Przy barze zgromadził się już cały zespół górskiego pogotowia. W kominku płonął ogień, wokół panowała przyjacielska atmosfera.

— Jest Blondi!

Rozległy się żartobliwe pogwizdywania i nawoływania. Toby, który w zespole zajmował się sprzętem ratowniczym, szarmancko ustąpił jej miejsca przy barze.

— Cześć, chłopaki. — Usiadła wygodnie i uśmiechnęła się do barmana. — Jak się masz, Geoff. Poproszę to, co zwykle.

Sięgnął po butelkę z sokiem grejfrutowym.

— Ohrer! Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!
— Wzniosła sokiem toast na cześć brata.

— Dziękuję. — Uśmiechnął się do niej. — U ciebie wszystko w porządku?

— Jak najbardziej. — A nawet lepiej. Czuła się świetnie. W końcu postanowiła zmienić coś w swoim życiu.

Podszedł Jack i ucałował ją w policzek.

— Czy wiesz, dlaczego blondynki nie potrafią zrobić kostek lodu?

— Bo ciągle zapominają przepisu — odrzekła znużonym tonem. — Powtarzasz się.

Ziewnął leniwie.

— Opowiadam kawały o blondynkach od dwudziestu dwóch lat, więc nie ma co się dziwić.

— Może powinnam ufarbować włosy na ciemno, żeby dostarczyć ci natchnienia?

— Ani mi się waź! — rzekł matowym głosem. — Zepsułaś mi wszystkie dowcipy. Kochamy cię taką, jaka jesteś.

Bryony wypita tyk soku. Wiedziała, że Jack wcale jej nie kocha. A przynajmniej nie tak, jak by tego pragnęła.

— Bry, masz wolny wieczór w czwartek albo piątek? — Olierer pochylił się nad barem i wziął z miseczki garść słonych orzeszków. — Mama chce urządzić dla mnie urodzinową kolację. Zaprasza całą rodzinę i Jacka.

— W czwarteknie mogę. — Bryony odstawiła szklanekę. Jack zmarszczył brwi.

— A to dlaczego? Tego dnia nie masz nocnego dyżuru.

— Umówiłam się na randkę — odparła po chwili wahania.

Oliyer spojrział na siostrę zdziwiony.

— Randkę? Umówiłaś się na randkę? — powtórzył z niedowierzaniem.

Z twarzy Jacka w ułamku sekundy zniknął uśmiech.

— Odkąd to chadzasz na randki? — spytał oschłym tonem.

Bryony doszła do wniosku, że może wyjaśnić swoje motywy. Wzięła głęboki oddech.

— Odkąd się dowiedziałam, co Lizzie chce dostać na Gwiazdkę od świętego Mikołaja...

Olierer patrzył na nią badawczo.

— No. powiedz, czego sobie zażyczyła? I co to ma wspólnego z chodzeniem na randki?

Bryony przez chwilę patrzyła na swoją pustą szklanę.

— Umówiłam się na randkę, ponieważ Lizzie chce mieć tatusia. — Podniosła wzrok i uśmiechnęła się blado. — Napisała do Mikołaja, żeby na Gwiazdkę dał jej tatusia.

Przy barze zapadła cisza. Mężczyźni wymienili spojrzenia. Pierwszy odezwał się Jack:

— Czy ona zdaje sobie sprawę, że to przereklamowany towar?

W jego głosie słysząc było gorzkość, więc Bryony lekko zmarszczyła brwi. Wiedziała, że rodzice Jacka rozwiedli się, kiedy ten miał osiem lat. i że było to dla niego bardzo bolesne przeżycie. Nigdy jednak o tym nie wspominał. Jak większość mężczyzn, nie rozmawiał o uczuciach.

— Chce tatusia? — Oliver odchrząknął i wymienił spojrzenia z Tomem. — Czy ma na myśli kogoś konkretnego?

Bryony potrząsnęła głową.

— Nie. Wybór pozostawia Mikołajowi. Ale mama dała mi jej list, w którym opisuje cechy wymarzonego taty.

— I jakie to cechy? — zaciekawiał się Oliver.

Bryony sięgnęła do kieszeni, wyjęła zmiętą kartkę i zaczęła czytać.

— „Tatusi musi być silny, żeby mnie huśtać na huśtawce w ogrodzie. Musi dużo się śmiać i żartować. Chcę, żeby mi pozwalał oglądać telewizję przed wyjściem do szkoły i żeby mi nie kazał jeść brukselki, bo jej nie lubię. I chcę takiego tatusia, który przyjdzie po mnie do szkoły i przytuli mnie na powitanie, jak to robią tatusiowie innych dzieci.” — Urwała i z wysiłkiem przełknęła ślinę. Wokół zapadła cisza. — „Ale najbardziej chcę, żeby ten tatuś przytulał moją mamusię i żeby został z nami na zawsze.” — Nikt się nie odezwał. — To wszystko — zakończyła Bryony.

Złożyła kartkę i schowała ją do kieszeni. Jack patrzył na nią ponuro.

— Nigdy bym nie pomyślał, że tak bardzo jej zależy, żeby ktoś ją odbierał ze szkoły. — Zerknął na Toma i Olivera. — Musimy coś z tym zrobić.

— Jasne. — Tom skinął głową, ale Bryony uciszyła go, unosząc dłoń.

— Dziękuję wam. ale Lizzie nie o to chodzi.

Olirer z zamyśleniu podrapał się po karku.

— Skąd jej taki pomysł przyszedł do głowy?

— Nie mam pojęcia. — Wzruszyła ramionami. — Może po prostu osiągnęła wiek. w którym dzieci zaczynają dostrzegać różnice między sobą a innymi. Większość jej kolegów z klasy pochodzi z pełnych rodzin.

— Czytałem jej za dużo bajek — stwierdził smutno Jack.

— To tylko dziecko. Małe dziewczynki marzą o ślubie, białej sukni...

Olirer uśmiechnął się do Toma.

— Niektóre duże dziewczynki też o tym marzą. Mnie to przeraża.

— Przestań — upomniała go Bryony z żartobliwą przyganą. — Nie wiem. jakim cudem moja córka jest całkiem normalna, choć dorasta w otoczeniu takich facetów jak wy. Stale mnie pyta. dlaczego jeszcze nie jesteście żonaci.

— Powiedziałaś jej, że nie mamy na to czasu, bo za dobrze się bawimy?

— Nie. Wyjaśniłam, że dotychczas żaden z was nie spotkał właściwej kobiety, ale to na pewno kiedyś się stanie.

— Na pewno? — zapytał Olirer. przybierając wystraszoną minę. — Mam nadzieję, że jednak nie.

— Jesteście okropni.

— Ty też nie jesteś najlepszą reklamą poważnych związków — odparował Tom. — Nie umówiłaś się z nikim od urodzenia Lizzie.

— Wiem. Ale to się zmieni. — Uniosła głowę. — Lizzie rzeczywiście potrzebuje ojca.

— Co zamierzasz zrobić? — Jack patrzył na nią bez cienia uśmiechu. — Wyjdiesz za pierwszego lepszego faceta, żeby uszczęśliwić córkę?

— Nie opowiadaj bzdur. Oczywiście, że nie. — Mówiła cichym, ale stanowczym głosem. — Po prostu chcę zacząć umawiać się na randki.

Bracia uśmiechnęli się.

— To świetnie — powiedział Tom. — Od tylu lat istnieje dla ciebie tylko dom i praca. Wyrwij się z tego kierunku. Zaszalej.

Koledzy pokleпали ją przyjaźnie po plecach, kilku zartowało, że ustawią się do niej w kolejce. Tylko Jack siedział zamyślony.

— Naprawdę sądzisz, że znajdziesz dla niej ojca?

— Nie wiem. Może nie. Ale jeśli nie zacznę się umawiać, na pewno mi się to nie uda.

— A więc z kim umówiłaś się w czwartek? — zapytał lodowatym tonem.

Spojrzała na niego zaskoczona. Jeszcze nigdy tak chłodno się do niej nie zwracał. Brzmiało to tak, jakby był... wściekły. Ale dlaczego? Innych ucieszyła jej decyzja.

— To chyba nie twoja sprawa — odparła lekko i zaczepnie, próbując rozładować atmosferę. Bezskutecznie.

— Jestem ojcem chrzestnym Lizzie — przypominał jej surowo. — A więc to, kogo chcesz dla niej wybrać, jest jak najbardziej moją sprawą.

— Będziesz sprawdzał wszystkich mężczyzn, z którymi zechcę się umówić? — Nadal starała się nadać ich rozmowie beztroski, zaczepny ton.

— Niewykluczone.

Roześmiała się z niedowierzaniem, ale jej śmiech zaraz ucichł.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Blondi, przecież ty nic nie wiesz o facetach — odrzekł. — Nie zdradziłaś nam, kim jest biologiczny ojciec Lizzie. ale sami widzimy, że odszedł, a to dowód, że nie potrafisz dobrze wybrać.

Bryony zatrzęsała się z oburzenia. Z nikim nie rozmawiała o ojcu Lizzie. Jack również nie poruszał tego tematu i nigdy nie krytykował tego, że postanowiła zostać samotną matką.

— Nie rozumiem, dlaczego nie pochwalasz mojego pomysłu — powiedziała. Koledzy rozmawiali o swoich sprawach i nikt nie zwracał na nich uwagi. — Przecież ty ciągle chadzasz na randki.

— Ale ja nie mam siedmioletniej córki.

— A ja mam. i właśnie dlatego postanowiłam to robić!

— To jakiś niedorzeczny pomysł. Wydaje ci się, że można tak na poczekaniu wyczarować szczęśliwą rodzinę?

Wiedziała, co się kryje za jego słowami.

— Wcale mi się tak nie wydaje. Ale postanowiłam sprawdzić, czy uda mi się znaleźć kogoś, kto by pasował do mnie i do Lizzie.

— Twoje życie toczy się spokojnym, utartym torem. Dlaczego chcesz je skomplikować?

— Ponieważ Lizzie potrzebuje czegoś więcej... — Zahałała się. — Ja też jeszcze czegoś potrzebuję. Zbyt długo jestem sama.

Zacisną! usta.

— A więc postanowiłaś się zabawić.

— Nawet jeśli, to co z tego? Nie rozumiem twojej reakcji! Przecież ty stale się z kimś umawiasz. Tak samo jak moi bracia.

— To zupełnie co innego — odrzekł. Policzki mu poczerwieniały.

Nagle Bryony poczuła, że ma dość tej rozmowy.

— Co innego? Bo jesteś mężczyzną, a ja kobietą?

— Nie. — Zacisnął palce na szklance. — Ponieważ nie jestem za nikogo odpowiedzialny.

— Zgadza się. Bardzo się starasz, żeby utrzymać ten stan. I nie musisz mi przypominać o moich obowiązkach wobec Lizzie. — Spojrzała na niego ze złością. — Przecież chcę się umawiać ze względu na nią. Znajdę jej ojca. skoro go potrzebuje. I będę bardzo szczęśliwa, jeśli ktoś z nami zamieszka, bo mam już serdecznie dość samotności.

Dlaczego tak długo zwlekała z tą decyzją? Przecież Jack me potrafi pokonać swojego strachu przed poważnym związkiem. Dawno powinna zdać sobie sprawę, że Jack Rothwell nie założy rodziny, a już na pewno nie z nią.

— Wracam do domu — oznajmiła chłodno, nie patrząc mu w oczy. — Do zobaczenia jutro w szpitalu.

Usłyszała, że nabrał głęboko powietrza. Wiedziała, że będzie próbował ją zatrzymać, więc niemal biegiem dotarła do drzwi. Nie chciała z nim rozmawiać. Później zadzwoni do Ołivera i przeprosi za wyjście bez pożegnania. Wiedziała, że się na nią nie obrazi. Byli bardzo życzli. Kochała obu swoich braci, a oni zawsze ją wspierali, nawet dzisiaj.

Dlaczego Jack zachował się tak dziwnie? Owszem, nie znosił instytucji małżeństwa, ale przecież nie chodziło tu o jego związek. Zazwyczaj odnosił się do niej ciepło, pomagał jej i dodawał otuchy. Nigdy się nie kłócili. Uważała go za najlepszego przyjaciela.

Szybko otworzyła samochód, czując, że łzy napływają jej do oczu. Być może straci Jacka, jeśli zacznie umawiać się z innymi. Trudno. Dość już czasu na niego zmarnowała, a on nawet jej nie zauważa. Jego dzisiejsze zachowanie tylko utwierdziło ją w postanowieniu.

Jack z rozmachem odstawił szklanekę i zaklął pod nosem.

— Bardzo ładnie, stary — z przyganą w głosie stwierdził Oliver. — O ile pamiętam, wszyscy trzej się zgodziliśmy, że nie będziemy poruszać tematu ojca Lizzie.

— Wiem. wiem. Ale przecież ona nic nie wie o mężczyznach.

— Ma dwadzieścia siedem lat.

— I co z tego? — Jack spojrzał gniewnie na Olivera. — Tamten facet złamał jej serce! Z nikim więcej się nie spotykała, więc na pewno jeszcze się nie pozberała po tym ciosie. Nie chcę, żeby znów popełniła ten sam błąd.

Dołączył do nich Tom.

— Po siedmiu latach na pewno doszła do siebie.

— Więc dlaczego nigdy z nikim się nie spotykała?

Tom popatrzył Jackowi prosto w oczy.

— Nie wiem...

— Wydaje mi się, że wiesz. — Przyjaciele patrzyli na siebie badawczo.

Tom potrząsnął głową.

— Nie wiem. Mogę się tylko domyślać.

— I czego się domyślasz? — Jack zmarszczył brwi.

Tom uśmiechnął się dziwnie i spojrzął na brata.

— Według mnie stale myśli o jakimś facecie i dopóki me wybije go sobie z głowy, me zwiąże się z nikim innym.

— Właśnie! — triumfalnie odrzekł Jack. — Musi zapomnieć o ojcu Lizzie. — Powiedziawszy to, chwycił kurtkę i wyszedł z pubu.

— Zawsze mi się wydawało, że to inteligentny gość — rzekł Oliver do brata. — Jakim cudem skończył studia z wyróżnieniem?

— W końcu się domyśli — odrzekł Tom z bladym uśmiechem.

— Chyba że Bryony wcześniej znajdzie sobie kogoś.

— Kocha się w Jacku od dwudziestu dwóch lat — stwierdził Tom. — W nikim innym się nie zakocha.

— I co będzie?

— Przewiduję, że w najbliższym czasie zobaczymy bardzo ciekawe rzeczy.

Do diabła.

Jack szedł do samochodu, klnąc się w duchu za brak taktu. Jak to się stało, że pokłócił się z Bryony? Nigdy im się to nie zdarzyło. Ta kobieta była dla niego niczym siostra. Często się sobie zwierzali, a przynajmniej on to robił. Opowiadał jej o swoich nowych znajomościach, ona czasami udzielała mu porad. Lubił w niej to, że w przeciwieństwie do kobiet, z którymi się umawiał, nigdy nie próbowała go zmieniać ani me prawiała mu kazań. W jej kuchni czuł się lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

Co też w niego wstąpiło?

Rozejrzał się w nadziei, że ją zobaczy, ale już dawno musiała odjechać. Miał nadzieję, że nie jedzie zbyt szybko. Zrobiło się mroźno i drogi były oblodzone.

Zacisnął zęby. Sprawiał jej wielką przykrość i czuł, że musi ją przeprosić. Oczywiście mógłby pojechać do niej od razu, jednak podejrzewał, że nadal jest na mego wściekła, a poza tym i tak nie mogliby otwarcie rozmawiać, ponieważ była tam jej matka.

Wsiadł do swojego sportowego samochodu i oparł się o zagłówek. Kiedy się rozejdzie, że postanowiła zacząć się umawiać, nie będzie mogła się opędnąć od chętnych. Dlaczego musiała to obwieścić w pubie pełnym ludzi? Czy nie widziała, że wszyscy ci faceci ślinią się na jej widok? Kiedy przechodziła przez salę, jasnowłosa i długonoga, cichły rozmowy i wszystkie oczy spoglądały tylko na nią.

A teraz zjawi się jakiś typ spod ciemnej gwiazdy i ją wykorzysta. Jest taka ufna i niedoświadczona, że nie będzie umiała się obronić.

Ostro zawrócił i ruszył przed siebie. Nie może do tego dopuścić. Zaszła w ciążę na drugim roku studiów, kiedy nie było przy mej ani braci, ani jego. Nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem dziecka. Burknęła tylko, że popełniła błąd, i więcej nie chciała na ten temat mówić, choć bracia wypytywali ją o to wiele razy.

Drugi raz nie popełni takiego błędu, pomyślał Jack ponuro i zacisnął ręce na kierownicy. Jeśli jakiś facet choćby spojrzy na Bryony w podejrzany sposób, będzie miał z nim, Jackiem, do czynienia. Trzeba tylko obmyślić skuteczny plan. Musi się jak najszybciej dowiedzieć, z kim Bryony zamierza się spotkać, żeby wystosować odpowiednie ostrzeżenie.

Bryony weszła do kuchni i zobaczyła tani matkę.

— Lizzie śpi? — zapytała.

— Jak suseł. — Pani Hunter wytarła ręce w ściereczkę.

— Wcześniej wróciłaś, kochanie. Coś się stało?

— Nic.

— Bryony, jestem twoją matką, więc od razu widzę, że coś cię zdenerwowało.

— Jack Rothwell! On mnie zdenerwował! — Łzy zabłyły w jej oczach.

— Aha. — Pani Hunter uśmiechnęła się lekko i włączyła czajnik. — Napijiesz się herbaty?

— Chętnie. — Bryony opadła na krzesło i westchnęła.

— Ten człowiek świętego wyprowadziłby z równowagi.

— Czyżby?

— Wiesz, że tak.

— Wiem, że od dzieciństwa jesteście sobie bardzo bliscy — odrzekła łagodnie. — Jestem pewna, że się pogodzicie.

— Jack umawiał się chyba z połową kobiet w tym kraju, ale kiedy ja zapowiadam, że zamierzam pójść na randkę, jest oburzony i wygłasza mi kazanie o odpowiedzialności za Lizzie.

— Naprawdę tak zareagował? — Pani Hunter zamyśliła się. — To ciekawe.

— Ciekawe? — Bryony spojrzała na nią z niedowierzaniem. — Chciałaś powiedzieć, denerwujące. I zakłamanie.

— Pewnie sobie wyobraża, że w ten sposób chroni Lizzie.

— Przed czym? — zdziwiła się Bryony.

Matka postawiła na stole dwa kubki herbaty i usiadła naprzeciw córki.

— Jack nie ma dobrego wyobrażenia o małżeństwie.

— Masz na myśli jego doświadczenia z rodzinnego domu?

Pani Hunter z dezaprobatą zacisnęła usta.

— Znasz moje zdanie na ten temat. Jego rodzice powinni byli rozwiązać swoje problemy w bardziej cywilizowany sposób. Po odejściu ojca Jack większość czasu spędzał u nas, a jego matka nawet nie zauważała nieobecności dziecka. Prowadziła zbyt bujne życie towarzyskie.

Bryony zagryzła wargi. Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego Jackowi nie spodobał się jej pomysł.

— Przecież ja na pewno tak bym nie postąpiła. — Podniosła wzrok. — A ty jak myślisz? Czy powinnam się spotykać z mężczyznami?

— Oczywiście — odrzekła spokojnie pani Hunter. — Zawsze tak myślałam. Ale ty byłaś tak zapatrzona w Jacka, że nawet ci to nie przyszło do głowy.

Bryony otworzyła usta, by zaprzeczyć, jednak zaraz je zamknęła.

— A więc wiesz...

— Oczywiście, że wiem. Jesteś moim dzieckiem.

— On mnie nie zauważa.

— Odgrywasz wielką rolę w jego życiu — odrzekła spokojnie pani Hunter. — Praktycznie cały wolny czas spędza u ciebie. To się będzie musiało zmienić, skoro chcesz widywać innych mężczyzn.

Bryony objęła dłońmi kubek.

— Nie chcę rezygnować z przyjaźni z Jackiem.

— Kiedyś wyjdiesz za mąż i nie wyobrażam sobie, żeby twój przyszły mąż był zachwycony, jeśli za każdym razem po powrocie z pracy zastanie w kuchni Jacka. To jasne, że wasz układ się zmieni.

Poczuła dziwny ucisk w żołądku. Nie chciała takich

zmian. Minio kłótni nie wyobrażała sobie, by Jack zniknął z jej życia. Ale ze względu na Lizzie jakoś się z tym pogodzi.

— Trudno, skoro tak musi być. — Uniosła kubek, wznosząc żartobliwy toast. — Za moją przyszłość!

Pani Hunter również uniosła swój.

— Niech będzie tak, jak naprawdę chcesz — powiedziała nieco tajemniczo.

Następnego ranka obudził ją pager.

— Czy to wezwanie na akcję? — Lizzie natychmiast wyrosła przy jej łóżku i patrzyła na matkę rozszerzonymi z przejęcia oczami. — Ktoś ma jakieś kłopoty w górach?

Bryony chwyciła pager, by odczytać wiadomość. W tej samej chwili zadzwonił telefon, a Lizzie natychmiast podniosła słuchawkę.

— Dzień dobry, przy telefonie Elizabeth Hunter — powiedziała oficjalnym tonem. Widać było, że jest z siebie bardzo dumna. Nagle jej twarz rozjaśnił uśmiech. — Cześć, Jack! Tak, jest... Powiem jej. Zobaczymy się później?

Bryony pognąła do łazienki, żeby umyć zęby. Kiedy wróciła, Lizzie skończyła rozmawiać.

— Dwóch chłopców* nie wróciło z wycieczki — oznajmiła z powagą. — Sean wysłał cały zespół, ale chce, żebyście z Jackiem poszli pierwsi. Jack przyjedzie po ciebie za pięć minut.

Bryony pobiegła do kuchni, wzięła jabłko z misy na owoce i wrzuciła do tosterka kilka kromek chleba.

— Spakuj tornister, skarbie. Podrzucimy cię do babci. Ona cię dziś zaprowadzi do szkoły.

Kiedy Jack zapukał do drzwi, dziewczynka stała gotowa do wyjścia, przeżuując ostatnie kęsy grzanki.

— Cześć. — Jack uściskał ją na powitanie. — Wieziemy cię do babci?

— Oczywiście. — Bryony weszła do holu i unikając jego wzroku, podniosła z podłogi plecak z porzeczonym sprzętem. Nadal była urażona jego reakcją na swoje postanowienie.

Wsiedli do terenowego samochodu, na którym namalowane były emblematy pogotowia górskiego, i ruszyli w stronę domu pani Hunter.

— Co się dokładnie stało? — Bryony skręciła włosy w ciasny węzeł i wsunęła je pod wełnianą czapkę, po czym wyjęła z plecaka rękawiczki.

— Dwaj chłopcy mieli się zjawić wczoraj wieczorem, ale gdzieś przepadli.

Bryony zmarszczyła brwi.

— Dlaczego więc nie wezwano nas już wczoraj?

— Nie powiadomili kolegów w bazie, że wybierają się na wycieczkę, więc nikt me zwrócił uwagi na ich nieobecność. Dopiero dzisiaj wszczęto alarm. Pogoda się załamała, dlatego Sean się martwi.

— Wezwali helikopter? — dopytywała się Lizzie.

— Tak. skarbie. — Jack zerknął na nią z uśmiechem. — Ale pogoda jest okropna, więc Sean chce, żebyśmy razem z twoją mamą wyruszyli przodem. Możemy się przydać.

— Dlaczego zawsze chodzicie na wyprawy razem?

Jack zatrzymał samochód przed domem pani Hunter.

— Od dawna razem pracujemy w pogotowiu górskim. Kiedy twoja mama przechodziła szkolenie, ja byłem jej instruktorem. Opiekowałem się nią.

— I dalej się nią opiekujesz — stwierdziła Lizzie z zadowoleniem i wyskoczyła z pojazdu.

— Wcale nie trzeba się mną opiekować — burknęła ze złością Bryony i spojrzała groźnie na Jacka. — Do zobaczenia! — zawołała do córki.

Kiedy dziewczynka zniknęła za drzwiami domu babci. Jack ruszył dalej.

Bryony siedziała sztywno, wpatrując się w krajobraz za oknem. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć.

— Domyślamy się, gdzie mogą być — oznajmił Jack, skręcając w wąską drogę. — Pytanie brzmi, w jakim stanie ich znajdziemy.

Z tego względu właśnie Sean wysłał ich przodem. Spodziewał się kłopotów i chciał, by na miejsce pierwsi dotarli lekarze. Wyjęła z plecaka mapę.

— Gdzie to jest? — Jack podał jej współrzędne. — Utknęli w wąwozie?

— Na to wygląda.

— Tam płynie strumień, a poziom wody po ostatnich deszczach bardzo się podniósł — przypomniała sobie z niepokojem.

— Dlatego musimy się śpieszyć. — Jack zatrzymał samochód. — Osobiście wątpię, czy w taką pogodę helikopter dostanie zezwolenie na lot.

Szybko wysiedł. zabierając ze sobą sprzęt.

— Gotowa? — spytał Jack. unosząc brwi.

— Idziemy.

Od początku narzucił szybkie tempo, ale Bryony nie protestowała. Wiedziała, że liczy się czas. Po nocy spędzonej na mrozie chłopcy mogą być w bardzo ciężkim stanie.

Ścieżka biegła coraz bardziej stromo, pojawiła się mgła. Jack potrząsnął głową.

— Mamy listopad, mróz i zerową widoczność — stwierdził, poprawiając plecak na ramionach. — Kto w taką pogodę wybiera się w góry?

— Ty. i to bardzo często — przypomniała mu, zerkając na kompas. — Kiedyś i po ciebie trzeba będzie zorganizować wyprawę ratowniczą.

— Niedoczekanie. — Puścił do niej oko. — Zawsze dam sobie radę.

Bryony wzniosła oczy do nieba i zatrzymała się w pół kroku.

— Dlaczego stanęłaś?

— Bo twoje wielkie mniemanie o sobie blokuje mi drogę.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

— Posłuchaj, jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

— Nie teraz — przerwała mu szybko. Nie chciała o tym rozmawiać, zwłaszcza podczas marszu pod górę.

— Chcę cię tylko przeprosić — powiedział cicho. — Nie miałem racji. Jesteś wspaniałą matką i wiem, że zrobisz to, co dla Lizzie najlepsze.

Bryony zaniemówiła z wrażenia. Jeszcze się nie zdarzyło, by Jack ją za cokolwiek przeprosił.

— Zapomnijmy o tym — wymamrotała.

Skinął głową, przyglądając jej się uważnie.

— Dobrze. Ale później jeszcze porozmawiamy. — Spojrzał w górę. — Helikopter na pewno nie przyleci.

— Więc sami musimy ewakuować chłopców.

Patrzył na nią przez chwilę. Oczy rozbłysły mu wesoło.

— Dlaczego blondynka trzyma gazetę w lodówce? — zapytał, odsuwając jej kosmyk włosów z czoła. — Żeby mieć zawsze świeże wiadomości.

Przechyliła głowę w bok i spojrzała na niego zaczepnie.

— Dlaczego mężczyźni nie mają kryzysu wieku średniego? — Uniósł pytająco brwi. — Bo nigdy nie dorastają — wyjaśniła ze słodkim uśmiechem. — Czy możemy już iść?

Mgła stawała się coraz gęstsza. Z radionadajnika Jacka rozległ się głos Seana. Mężczyźni rozmawiali chwilę. Kiedy skończyli, Jack oznajmił:

— Cały zespół ratunkowy wyrusza w góry. Wydaje mi się, że jesteśmy już w tym miejscu, gdzie ostatnio widziano chłopców.

Bryony przez chwilę nasłuchiwała, ale nie usłyszała nic oprócz szumu wody. Zadygotała lekko, kiedy zimne powietrze przeniknęło przez jej ubranie.

— Ruszajmy — ponaglił Jack. Przeszedł kilka kroków, ale nagle się zatrzymał i spojrzał w głąb wąwozu. — Widzisz coś?

— Co? — Bryony chciała stanąć bliżej krawędzi, ale Jack objął ją silnym ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Lepiej nie podchodź za blisko. — Razem spojrzeli w dół, starając się przeniknąć wzrokiem mgłę.

Bryony wstrzymała oddech. Jack stał tak blisko, że czuła dotyk jego muskularnego ciała.

— Nic nie widzę. — Nagle jej wzrok przyciągnął jakiś czerwony punkt. — Nie! Rzeczywiście coś tam jest!

Jack wreszcie rozluźnił uścisk.

— Ścieżka w dół jest wąska i śliska. Dasz radę, Blondi? Trzeba po prostu stawiać nogi jedna przed drugą i uważać, żeby się nie przewrócić.

— Nie będzie to łatwe, ale dam z siebie wszystko — zapewniła go poważnie, zadowolona, że znów rozma-

wiają ze sobą jak dawniej. — A ty? Trafisz bez pytania o drogę?

Przekomarzali się. ostrożnie schodząc w dół. aż wreszcie dotarli na dno wąwozu. Szybko spostrzegli zaginionych chłopców. Siedzieli pod wielkim kamieniem, przytuleni do siebie. Jack przykucnął obok nich.

— Cześć. Ładny dzień na wycieczkę w góry.

— Już myśleliśmy, że nikt nas nie znajdzie — wyszeptał chłopiec, szcękając zębami. — Martyn ciągle zasypia i zostawia umie samego.

— Rozumiem. Zaopiekujemy się nim. Rozbij dla nich namiot — polecił Bryony.

Skinieniem głowy dał jej znak, by zajęła się przytomnym dzieckiem, tymczasem sam zaczął badać drugiego chłopca.

Martyn leżał nieruchomo i cicho jęczał. Policzki miał blade, usta sine.

Bryony upewniła się, że jej podopieczny nie odniósł żadnych ran, a potem szybko rozbiła lekki namiot ratowniczy i pomogła chłopcu wejść do specjalnego śpiwora.

— Jak się nazywasz?

— Sam.

— W tym ci będzie ciepło. Niedługo cię stąd zabierzemy — zapewniła go.

— Martyn się przewróci! — wyszlochał Sam. — Złamał sobie nogę. Widziałem wystającą kość.

Objęła go ramieniem dla dodania otuchy.

— Teraz się już o to nie martw — powiedziała łagodnie. — Pomożemy mu. Niedługo obaj wróćcie do domu. Zaraz dam ci coś gorącego do picia. Rozgrzejesz się.

Wyjęła z plecaka termos, nalała do kubka gęstej, gorącej czekolady i podała chłopcu.

— Zaraz wrócę — zapewniła i wysunęła się z namiotu. Wiedziała, że Jack potrzebuje pomocy.

— Sam mi powiedział, że jego kolega złamał nogę. Jack skinał głową.

— Złamanie otwarte kości piszczelowej i strzałkowej. Obfite krwawienie. Trzeba mu założyć kroplówkę i szynę.

Bryony wyjęła z plecaka potrzebny sprzęt. Jack przez radio podał Seanowi ich pozycję i opisał stan chłopców. Kiedy skończył, wenflon był już na miejscu.

Pochylił się nad chłopcem i cicho tłumaczył mu, co robi i dlaczego. Z podziwem patrzyła na jego profesjonalizm i opanowanie.

Zakryła ranę sterylnym opatrunkiem, a Jack ostrożnie zdjął chłopcu but.

— Zaraz podamy ci środek przeciwbólowy i unieruchomimy nogę — uspokajał chłopca. — Potem dostaniesz coś na rozgrzewkę i zabierzemy cię w bezpieczne miejsce.

Kiedy skończyli opatrywać złamaną nogę, przybył Sean z resztą zespołu.

— Piękny dzień na wycieczkę. I jakie piękne widoki! — stwierdził, rozglądając się wokół. — Jak się przedstawia sytuacja?

— Przydałby się helikopter, ale podejrzewam, że nie ma na to szans.

— Nie mylisz się.

Jack westchnął i sprawdził puls na nodze chłopca.

— W takim razie musimy sami znieść ich na dół. Trochę gimnastyki dobrze mi robi.

Chłopcy zostali ułożeni na noszach i cały zespół ruszył z powrotem. W dolinie świeciło słońce, a mgła zniknęła.

— Własnym oczom nie wierzę — wymamrotała Bryo-

ny, zdejmując czapkę. Jasne włosy opadły jej na ramiona.
— Co się dzieje z tą pogodą?

Chłopcy zostali umieszczeni w karetce pogotowia górskiego i pod nadzorem Seana pojechali do szpitala. Za nimi podążyli Jack i Bryony.

— Pracujesz dzisiaj? — zapytał Jack.

— Tak. Mam wieczorny dyżur.

— Wydawało mi się, że jesteś umówiona.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Jestem umówiona, ale na jutro. I nie wiem, czy pójdę, bo mama inaczej zaplanowała sobie ten wieczór i nie może zostać z Lizzie.

— Ja jej przypilnuję.

— Ty? — zdziwiła się.

— Dlaczego nie? — Nie odrywał wzroku od szosy. — Często się nią zajmuję. Dzięki temu mam okazję porozmawiać ze swoją chrześnicą. Bardzo to lubię.

W Bryony obudziły się podejrzenia.

— Ale przecież wczoraj... — Urwała i przygryzła wargę. Nie chciała wracać do tego tematu, by nie zepsuć dobrej atmosfery, która znów między nimi zapanowała.
— Wczoraj mówiłeś, że nie powinnam się z nikim umawiać — dokończyła z wahaniem.

— I już za to przeprosiłem. — Wjechał na drogę prowadzącą do szpitala. — Chcę ci to wynagrodzić, więc zajmę się Lizzie. dobrze? O której mam przyjechać?

Ten pomysł jej się nie spodobał, choć sama nie wiedziała, dlaczego. Odruchowo skinęła głową.

— Może o siódmej trzydzieści?

— Doskonale. Jeszcze jedno... — Zatrzymał się na podjeździe dla karetek i zaciągnął ręczny hamulec. — Nie powiedziałaś mi, z kum się umówiłaś.

W jego pozornie beztroskim tonie kryło się coś podejrzanego. Spojrzała na niego badawczo, ale z jego twarzy nie potrafiła nic wyczytać.

— Z Davidem.

— Z Daridem Armstrongiem? Tym pediatrą? — Minę miał nadal pogodną, ale brzmienie głosu ją zaniepokoiło.

— Posłuchaj, Jack...

— Przyjadę o siódmej trzydzieści. A teraz zajmijmy się chłopcami.

Energicznie wysiadł z samochodu, a ona patrzyła na niego w zdumieniu. Jego propozycja wyglądała na niewinny, przyjacielski gest, jednak Bryony czuła, że coś tu nie sra.

ROZDZIAŁ TRZECI

— Mamusiu, ślicznie wyglądasz.

— Naprawdę tak myślisz?

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Nie była pewna, czy wybrała odpowiednią sukienkę. Darid zapowiedział, że zabierze ją do eleganckiej restauracji. Dawno w żadnej nie była, więc nie bardzo wiedziała, co na siebie włożyć.

W końcu zdecydowała się na małą czarną, którą dostała od matki na Gwiazdkę kilka lat temu, ale nigdy jeszcze nie miała jej na sobie. Włosy spięła na czubku głowy, włożyła ozdobne, długie kolczyki i skropiła się perfumami. Z przyjemnością myślała o nadchodzącym wieczorze.

Kiedy rozległ się dzwonek, z szerokim uśmiechem otworzyła drzwi.

— Cześć, Jack — powitała go rozpromieniona. — W piekarniku zostawiłam dla ciebie coś na ciepło, bo pewnie jesteś głodny...

— Zgadza się, jeszcze nie jadłem kolacji. — Zmierzył ją wzrokiem i nagle w jego oczach pojawiła się wrogość.

Bryony poczuła, że opuszcza ją cała pewność siebie. Myślała, że wygląda dobrze, ale sądząc po minie Jacka, było inaczej.

— Chodź do kuchni — powiedziała szybko. Pewnie ta sukienka jest do niczego. — Mamy czas, żeby się czegoś

napić, zanim przyjdzie po umie Darid. Coś go zatrzymało w szpitalu.

Jack z dezaprobatą zacisnął usta.

— A więc się spóźni, tak?

— Tylko dlatego, że w ostatniej chwili przyjęto na oddział dziecko z atakiem astmy — wyjaśniła łagodnie. Wyjęła z lodówki butelkę wina. — Znasz takie sytuacje.

— Czy ja wiem...

Zamiast jak zwykle usiąść na stole, krążył po kuchni, co chwila zerkając na jej sukienkę.

Starając się ignorować jego badawczy wzrok, podała mu kieliszek wina.

— Proszę bardzo.

On jednak odstawił kieliszek na stół i wbił wzrok w jej nogi. Bryony czuła, że z zażenowania robi jej się gorąco. Zwykle nie pokazywała nóg. chodziła w spodniach, ponieważ są bardziej praktyczne niż spódnice. Dzisiaj włożyła cienkie czarne pończochy i teraz zaczęła tego żałować.

— Nie podoba ci się, prawda? — wychrypiąta przez ściśnięte gardło.

— Co? — spytał, podnosząc wzrok.

— To, jak wyglądam. Ciagle się na mnie gapisz.

Jack ze świstem wypuścił powietrze.

— Po prostu uważam, że tak ubrana nie powinnaś wychodzić z mężczyzną — oznajmił surowo. — Wysyłasz mylące sygnały.

— Jakie sygnały? — Nie rozumiała, o co mu chodzi.

— No... że jesteś wolna i chętna.

— Jack, ale ja jestem wolna i chętna — wyjaśniła spokojnie. — Właśnie takie sygnały chcę wysłać.

— I dlatego włożyłaś sukienkę, która ledwie przykrywa ci pupę? — spytał ze złością.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. Czasem widywała dziewczyny, z którymi się spotykał. Niemal wszystkie były blondynkami w króciutkich spódnicach.

— Jack. przecież ta sukienka kończy się nad kolanem. O co ci chodzi?

— Na dodatek dekolt masz zdecydowanie za głęboki!

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, do kuchni wbiegła Lizzie ubrana w różowy kostium elfa ze skrzydełkami.

— Wujek Jack! — zawołała radośnie i rzuciła mu się w ramiona. Podniósł ją do góry bez żadnego wysiłku i pocałował w policzek.

— Witaj, moja piękna. Nie powinnaś już spać?

— Czekałam na ciebie. — Uśmiechnęła się promiennie.
— Pobawimy się w coś?

— Jasne. — Postawił ją na podłodze. — W co tylko zechcesz.

— Pobawmy się w ślub.

— W ślub? — Już się nie uśmiechał.

Uszczęśliwiona Lizzie kiwała główką.

— Tak! No wiesz, ty będziesz panem młodym, ja panną młodą i się pobierzemy.

— Aleja nie wiem, jak się w to bawić. — Jack wzdrygnął się z odrazą.

Bryony przykryła usta dłonią, by ukryć śmiech. Jack chętnie bawił się z jej córką, ale zabawa w ślub mogła się okazać ponad jego siły.

— To łatwe — zapewniła dziewczynka. — Weźmiemy się za ręce i będzie ślub.

Jack spojrzał błagalnie na Bryony, ale ona tylko się uśmiechnęła.

— Zgódź się. Jack — powiedziała. — Zabawa w ślub jest

bardzo popularna. Bawią się w nią dziewczynki i chłopcy na całym świecie.

Spojrzał na nią tak, że gdyby wzrok mógł zabijać, pewnie padłaby trupem. Po chwili westchnął zrezygnowany i zwrócił się do Lizzie.

— Dobrze, skarbie. Powiedz mi, co trzeba robić.

— Przede wszystkim muszę się przebrać. — Z tymi słowami wybiegła z pokoju.

— Lizzie chce się bawić w ślub? — Jack spytał Bryony z niedowierzaniem.

— A cóż w tym dziwnego? Dziewczynki lubią śluby.

— Na samą myśl o tym oblewa mnie zimny pot — wymamrotał posępnie.

— Poradzisz sobie. Lizzie ma dopiero siedem lat. To będzie dobry trening, na wypadek gdyby kiedyś przytrafił ci się prawdziwy ślub.

— Wiesz, że to się nigdy nie stanie? — Spojrzał jej zaczepnie w oczy.

— Tylko nie mów tego mojej córce. Nie chcę, żeby nabrała uprzedzeń do małżeństwa.

— Powinna odpowiednio wcześniej się dowiedzieć, jak wygląda rzeczywistość.

Zanim Bryony zdążyła odpowiedzieć, wtÓciła Lizzie ubrana w długą, połyskliwą sukienkę księżniczki. Na jej głowie migotał jakiś klejnot.

Jack zamrugał powiekami.

— Ojej! Nie wiedziałem, że masz diadem.

— Mam ich siedem — oznajmiła z dumą dziewczynka.

— Diademów nigdy za dużo, prawda? — stwierdziła Bryony ze śmiechem.

— Chodź! — Lizzie chwyciła Jacka za rękę. — Będziemy szli razem po dywanie, a mama nas sfilmuje.

Bryony zataczała się ze śmiechu.

— Wspaniały pomysł! — wykrztusiła. — Pokażemy ten film na świątecznym przyjęciu górskiego pogotowia. Jack Rothwell nareszcie na ślubnym kobiercu!

Jack skrzywił się, ale oczy wesoło mu błyszczały.

— Zemszczę się okrutnie — ostrzegł ją cicho, a Lizzie pociągnęła go do salonu.

Bryony musiała przyznać, że potraktował zabawę bardzo poważnie i nawet na koniec pocałował Lizzie w rękę, jakby była prawdziwą księżniczką. Kiedy kończyła ich filmować, rozległ się dzwonek.

Otworzyła drzwi i w progu zobaczyła Darida z bukietem kwiatów.

— To dla mnie? Jakie piękne! — Nie była pewna, czy cmoknąć go w policzek. Jack stanął za nią i znacząco chrząknął.

— Weź płaszcz, Blondi — polecił chłodno, podając jej długą wełnianą jesionkę, która szczelnie okrywała jej postać.

— Chciałam wziąć wełniany szal — zaczęła, ale Jack zarzucił jej płaszcz na ramiona i starannie ją nim otulił.

— Za zimno na szal — zdecydował. — Nie chcesz się chyba wychłodzić. — Skinął głową Daridowi. — Musi być w domu przed jedenastą.

— Co? — Bryony roześmiała się, by pokryć zmieszanie. Nie ustalali godziny jej powrotu, a poza tym wiedziała, że Jack późno chodzi spać, a jeśli nawet zechce się zdrzemnąć, może to zrobić w pokoju gościnnym. Dlaczego więc to powiedział?

Darid uśmiechnął się sztywno.

— Może być o jedenastej.

Nie przeciwstawił się Jackowi, co na Bryony nie zro-

bilo dobrego wrażenia. Gdyby to Jack usłyszał coś takiego, odprowadzi łąby dziewczynę do domu dopiero rano, po prostu dlatego, by postawić na swoim.

Po raz kolejny obiecała sobie, że nie będzie myśleć o Jacku i poszła do kuchni, żeby wstawić kwiaty do wazonu.

Kiedy wróciła, mężczyźni patrzyli na siebie bez słowa. David miał trochę mewyrazną minę, Jack natomiast stał w wojowniczej pozie i wyzywająco spoglądał na gościa.

Bryony doszła do wniosku, że Jack najwyraźniej zwa-riował. Wyciągnęła rękę do Davida.

— Idziemy? — sprąła z uśmiechem.

— Wujku! — Lizzie pociągnęła go za rękaw. — Opuuszczasz całe kawałki.

Otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na książkę.

— Naprawdę?

— Tak. O, tej strony wcale nie przeczytałeś. I masz taką dziwną minę.

— Naprawdę? — powtórzył.

Starał się skupić na tekście, ale przed oczami cały czas miał Bryony w tej skąpej, czarnej sukience. Od czasów szkolnych meczów w koszykówkę nie widywał jej inaczey ubranej, niż w spodniach, więc dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, że jego przyjaciółka ma niebywale zgrabne nogi. I nie tylko. Zamknął oczy, starając się nie myśleć o jej kształtnych piersiach widocznych w głębokim dekolcie sukni.

Bryony siedzi teraz w restauracji, a David na pewno nie jest w stanie oderwać oczu od tego rajskiego widoku.

Jack zaklął cicho i wstał tak gwałtownie, że książka spadła na podłogę.

— Powiedziałeś brzydkie słowo — zauważyła Lizzie, podnosząc książkę.

— Przepraszani. — Nagle coś mii przyszło do głowy. — A może zadzwonimy do twój ej mamy. żeby powiedzieć jej dobranoc?

— Teraz? — zdziwiła się dziewczynka.

— Jasne. Dlaczego nie? — Zanim doktor Armstrong rozpali się do czerwoności. Jack chwycił Lizzie za rączkę i zaciągnął ją do kuchni. — Zadzwonimy do niej na komórkę.

Dziewczynka spojrzała na niego niepewnie.

— Jak jestem z babcią, to dzwonimy do mamy tylko w bardzo pilnych sprawach.

Jack już wystukiwał numer.

— Uwierz mi, że to jest pilna sprawa — zapewnił ją. Cały czas miał przed oczami dekolt Bryony. — Bardzo pilna. Córeczka chce powiedzieć mamie dobranoc.

Chociaż Lizzie patrzyła na niego jak na wariata, wystukał numer do końca i przyłożył słuchawkę do ucha.

Dlaczego Bryony tak długo nie odbiera?

A może wcale me poszli do restauracji? Może ten podstępny typ zabrał ją do siebie?

— Wujku, bardzo szybko oddychasz — zauważyła dziewczynka. — I masz taką dziwną minę.

Darid wyprostował się na krześle.

— Czy to nie twój telefon?

— Rzeczywiście. — Szybko zajrzała do torebki, czując, że narasta w niej strach. — Mam nadzieję, że nic ziego się nie wydarzyło.

Nerwowo szukała aparatu wśród chusteczek, notatników i innych drobiazgów'. Wreszcie go znalazła.

— Jack? — Spojrzała przepaszająco na swego towarzysza. — Coś się stało? — Przez chwilę słuchała w milczeniu. — Jestem w restauracji. Niby gdzie miałabym być? Po prostu nie mogłam znaleźć telefonu.

Kelner, który właśnie przyniósł pierwsze danie, spojrział na nią z dezaprobatą. W wielu restauracjach używanie telefonów komórkowych było zakazane.

Bryony rozmawiała z córką trochę zdziwiona. Lizzie nigdy nie chciała do niej dzwonić, zwłaszcza kiedy zostawała z Jackiem.

— Wszystko w porządku? — zapytał zaniepokojony David, gdy skończyła.

— Owszem. Przepraszam.

Postanowiła się rozluźnić. Nie zapomniała, że Jack skrytykował jej strój, ale wolała o tym nie myśleć. David dał jej do zrozumienia, że wygląda doskonale.

Gawędzili o szpitalu i górskim pogotowiu ratowniczym, ale kiedy doszli do głównego dania, telefon znów zadzwonił.

Tym razem Bryony szybko go odebrała, zanim kelner zdążył zgromić ją wzrokiem. Znow usłyszała głos Jacka. Tym razem chodziło o to, że Lizzie nie chce zdjąć skrzydełek elfa.

Bryony zmarszczyła brwi. Ten facet potrafi w górach, na mrozie i szalejącym wietrze uratować człowiekowi życie, a zawraca jej głowę skrzydełkami elfa?

— Po prostu zdejmij je z Lizzie, kiedy zaśnie — wymamrotała, uśmiechając się przepaszająco do Davida.

Starła się skupić na rozmowie, ale kiedy Jack zatelefonował trzeci raz. Dawid skinieniem ręki wezwał kehiera i poprosił o rachunek.

— Odwiozę cię do domu — oznajmił chłodno. — Bę-

dziesz mogła osobiście odpowiedzieć na wszystkie pytania.

— Przepraszam. — Bryony zaczerwieniła się lekko. Jej pierwsza randka nie należała do udanych. — Nie wiem, co mu się stało. Zwykle kiedy zostaje z Lizzie, wszystko idzie gładko.

Kiedy dojechali na miejsce, David podprowadził ją do drzwi. Tam przystanął i spojrzał na nią w zadumie.

Bryony czuła się trochę niezręcznie. Czyżby zamierzał ją pocałować? Nagle wpadła w panikę. Wcale nie chciała się z nim całować! David pochylił ku niej głowę, ale w tej samej chwili drzwi się otworzyły i w progu stanął Jack.

— Już wróciłaś? Świetnie.

Bryony zerknęła na Davida.

— Wstąpisz na kawę?

— David musi już jechać do domu — oznajmił zimno Jack. — Drogi są oblodzone i zapowiadali opady śniegu.

Darid jakiś czas milczał, spoglądając na Jacka.

— Ach, tak — powiedział w końcu. — W takim razie rzeczywiście lepiej będzie, jeśli się pośpieszę.

— Dziękuję za miły wieczór. — Bryony cmoknęła go w policzek. W głębi duszy czuła ulgę, że nie zdecydował się wstąpić na kawę.

Darid pożegnał się, postawił kołnierz płaszcza i wrócił do samochodu.

— Przykro mi, że Lizzie sprawiła ci dziś tyle kłopotom — powiedziała Bryony, włączając czajnik. — Zwykle nawet jej do głowy nie przychodzi, że mogłaby do mnie zadzwonić.

— Jakoś dałem sobie radę. — Jack usiadł na kuchennym krześle i w typowy dla siebie sposób oparł stopy na stole.

— Pewnie trochę się niepokoiła, że wyszłaś z obcym mężczyzną.

Bryony zastanowiły te słowa. Przecież to Lizzie chciała, by znaleźć jej tatusia. Dlaczego więc teraz się niepokoi?

— Przywyknie.

— Być może — zgodził się Jack. — Jak się udał wieczór?

W jego tonie pobrzmiwało coś trudnego do zinterpretowania. Bryony nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Czy dobrze się bawiła? Właściwie to nawet nie miała okazji porozmawiać z Davidem. Za każdym razem, gdy zaczynali jakiś temat, dzwonił telefon.

Biedna Lizzie. Jutro pomówi z córką. Nie będzie chodziła na randki, jeśli to ma niepokoić córeczkę.

— Wieczór był całkiem udany — odrzekła w końcu, nie wyjawiając całej prawdy. — Szkoda, że David nie chciał wstąpić na kawę.

— Wcale nie szkoda. Miałaś szczęście, że tak się stało. — Jack zdjął nogi ze stołu i spojrzał na nią gniewnie. — Nigdy nie zapraszaj mężczyzny na kawę.

— Przecież to tylko grzecznościowy gest — odparła zdziwiona. — Chciałam być miła.

— I dlatego zaproponowałaś mu seks?

Bryony patrzyła na niego w osłupieniu.

— Nie proponowałam mu seksu, tylko kawę.

— Na jedno wychodzi. — Był już późny wieczór, więc na policzkach Jacka pojawił się cień zarostu. Jack wyglądał teraz nieco groźnie i jeszcze bardziej pociągająco.

Dlaczego David nie wydawał jej się nawet w połowie tak atrakcyjny? Nie chciała, żeby ją pocałował na dobranoc, ale gdyby tam zamiast niego stał Jack...

Przypominała sobie, że postanowiła nie zwracać uwagi na męskie przymioty Jacka.

— Kawa to to samo co seks? — zapytała z ironią. — Pełen kofeiny i można go kupić w sklepie? Chyba nie.

— Możesz sobie żartować, ale czy naprawdę sądzisz, że jakiś mężczyzna chciałby wpaść do ciebie wieczorem tylko po to, żeby się napić kawy?

— Ty tak robisz — stwierdziła logicznie, podając mu kubek kawy.

— Ja to co innego. Nie próbuję zaciągnąć cię do łóżka. A szkoda, pomyślała z żalem.

— Jestem pewna, że David nie miał nic takiego na myśli.

— Co tylko dowodzi, jak niewiele wiesz o mężczyznach — stwierdził zasadniczym tonem. — Czy masz pojęcie, że przeciętny facet myśli o seksie co sześć sekund?

— Ach, to pewnie dlatego mężczyźni są jak kserokopiarki — odrzekła z ironią. — Służą głównie do powielania.

Tym razem Jack nie roześmiał się z jej dowcipu, a Bryony zatęskniła za dawnym Jackiem, który nazywał ją Blondi i bezlitośnie się z nią przekomarzał.

— Zaprosiłam Davida na kawę jedynie z uprzejmości — tłumaczyła cierpliwie. — Nie miałam zamiaru iść z nim do łóżka.

— A gdyby on miał taki zamiar?

Spojrzała na niego zrezygnowana.

— Cóż, mimo koloru włosów mam rozum i prawo głosu — odcięła się. — Potrafię myśleć i powiedzieć nie, i to nawet jednocześnie. Jeśli się bardzo skupię, to umiem zliczyć do dwóch. Jack, na litość boską, co się z tobą dzieje?

— Wydaje mi się, że jesteś naiwna.

— Dlatego, że chciałam zaprosić znajomego na kawę?

— Bryony zacisnęła zęby i potrząsnęła głową. — Zwario-
wałeś, wiesz?

Zapadła długa cisza. Na policzkach Jacka pojawiły się
czerwone plamy.

— Być może — powiedział w końcu. Odstawił kubek
z niedopitą kawą i wstał od stołu. — Pójdę już.

— Jak chcesz. Dziękuję za opiekę nad Lizzie.

— Nie ma za co.

W ich pożegnaniu nie było zwykłego ciepła. Bryony
wylała do zlewu resztkę swojej kawy. Nie wiedziała, co
o rym wszystkim myśleć; czuła narastającą frustrację.

Słyszała, jak Jack wychodzi, głośno zatrzasnął za
sobą drzwi. Co w niego wstąpiło?

Obawiała się, że następnego dnia w pracy atmosfera
między nimi będzie napięta, ale Jack zachowywał się tak
jak zwykle, rozmawiał z nią swobodnie i żartował. Sie-
dzieli w pokoju lekarskim i rozmawiali o planie dyżurów
na noc fajerwerków, obchodzony piątego listopada dzień
Guya Fawkesa. kiedy to cały kraj świętuje rocznicę
udaremnienia spisku prochowego z 1605 roku, a wielu
ludzi wydaje przyjęcia połączone z puszczaniem ogni
sztucznych.

— W tym roku kolej na mnie — powiedział Sean Ni-
cholson. jeden z pracujących na oddziale konsultantów,
patrząc z rezygnacją na Jacka. — Tobie należy się wóhie
od tego pracowitego dnia.

— Nie będę wiedział, co ze sobą zrobić — odrzekł.

— Nie lubisz tej daty, prawda? — Bryony uśmiechnęła
się do niego ze zrozumieniem.

— Owszem. Widziałem zbyt wiele dzieci poparzonych
na skutek nieostrożnego obchodzenia się z fajerwerkami

— wyjaśnił ponuro, zapisując coś w notesie. — A więc Blondi i ja mamy tego dnia wolne. Ale jeśli będziemy potrzebni, to dzwońcie. — Zwrócił się do Bryony. — Będziesz mogła przyjechać, jeśli zajdzie taka potrzeba?

Skinęła głową.

— Po ósmej. Zabieram Lizzie na przyjęcie z fajerwerkami.

Jack na chwilę znieruchomiał.

— Jakie przyjęcie?

— W domu koleżanki. Puszczą w ogródku kilka sztucznych ogni. Nic wielkiego — zapewniła, ale Jack potrząsnął głową.

— Nie ma mowy — powiedział sztywno. — Nie powinna tam iść.

— Ma siedem lat. Chce się spotykać z koleżankami.

— W takim razie zabierz ją i jej towarzystwo na hamburgery.

— To tylko kilka fajerwerków w ogródku i drinki dla rodziców. O ósmej wszystko się skończy.

Westchnął zrezygnowany.

— Dobrze, ale ja pójdę z wami.

— Jack...

— Tego wieczoru i tak nie mam nic innego do roboty. — Jego niebieskie oczy załśniły niebezpiecznie. — Pójdziecie albo ze mną, albo wcale.

— Nie jesteś jej ojcem! — wybuchnęła. ale zaraz sobie przypomniała, że w pokoju jest Sean. — Przepraszam — wymamrotała, czerwieniejąc ze wstydu.

— Nie szkodzi — odrzekł bez skrępowania kolega. — Jestem pewien, że nie będziecie tu potrzebni, więc bawcie się dobrze.

— Świetnie. W takim razie idziemy we troje.

Skończyli układać grafik dyżurów, a kiedy Sean wyszedł, Bryony spojrzała na Jacka.

— Co zamierzasz zrobić? Pójdiesz tam w towarzystwie oddziału straży pożarnej?

— Gdybyś pracowała na nagłych wypadkach tak długo jak ja, nie puściłabyś swojej córki na takie domowe przyjęcie z fajerwerkami — powiedział ostro. — Powiedz mamie tej koleżanki, żeby wystawiła do ogrodu wiadro z wodą i drugie z piaskiem.

— A może zamówić karetkę, żeby stała przed domem w pogotowiu? — zasugerowała zgryźliwie. — Matka Annę pomyśli, że jestem stuknięta.

— Niech myśli, co chce, ale trzeba się zabezpieczyć. — Podeszedł do drzwi. — O której zaczyna się przyjęcie?

— Mamy się tam zjawić o piątej trzydzieści. Najpierw będzie coś do jedzenia, potem sztuczne ognie — odrzekła.

— Dobrze. Przyjadę po was kwadrans po piątej. I niech Lizzie nie zapomni rękawiczek. Nie pozwolę jej dotknąć zimnych ogni gołymi rękami.

Bryony wyszła za nim na korytarz. Miała ochotę dalej się z nim spierać, ale rozumiała, że po prostu jest ostrożny. Nieraz miał do czynienia z poparzeniami będącymi skutkiem zabaw w dniu Guya a Fawkesa. No i wręcz uwielbiał Lizzie.

W głębi duszy cieszyła się, że spędzi to popołudnie z Jackiem, nawet jeśli będzie im towarzyszyło pół tuzina rodziców z pociechami.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dzień przyjęcia okazał się wyjątkowo mroźny, więc Bryony włożyła dzinsy, najgrubszy sweter i swój długi czarny płaszcz.

Lizzie miała na sobie jaskraworóżową czapkę, różowe rajstopy i kurtkę również w tym kolorze. Na jej widok Jack zamrugał oczami.

— Jak się miewają moje dziewczyny? — Wziął Lizzie na ręce i pocałował w policzek. — Wyglądasz jak cukiereczek, skarbie — dodał miękkiem głosem, na którego dźwięk pod Bryony uginały się nogi. — Masz może rękawiczki do kompletu?

— Gdzieś tu leżały.

Uśmiechnął się i postawił ją na podłodze.

— Poszukaj ich. dobrze?

Bryony postanowiła w duchu, że nie da sobie zepsuć tego wieczoru.

— Czy jestem wystarczająco przyzwoicie ubrana?

Przez chwilę nie reagował, ale zaraz wybuchnął śmiechem.

— Właśnie tak jak lubię. Prawie wcale cię nie widać spod tego płaszcza.

Bryony przewróciła oczami. Jack nie chce oglądać jej ciała, więc najwyraźniej nie podoba mu się. Trudno. Postanowiła się tym nie przejmować.

Lizzie wróciła z rękawiczkami, a Jack skinął głową.

— Grzeczna dziewczynka — pochwalił małą, po czym otworzył drzwi i wszyscy troje poszli do samochodu. — Lizzie, kiedy będą puszczane ognie sztuczne, masz się trzymać blisko mnie. Cały czas. Zapamiętasz?

— A jeśli będę się chciała pobawić z koleżankami?

— Będziesz się mogła z nimi bawić przed fajerwerkami i po — oświadczył, zapinając dziewczynce pas bezpieczeństwa.

Lizzie spojrzała na niego z powagą.

— Tak się boisz fajerwerków? Będę cię musiała trzymać za rękę?

Bryony stłumiła śmiech, ale Jack nawet nie mrugnął.

— Bardzo się ich boję, aniołku. Liczę na to, że nie zostawisz mnie samego.

— Będę przy tobie cały czas — zapewniła go.

Bryony z cichym westchnieniem usiadła obok Jacka. Zawsze musiał postawić na swoim.

Annę, przyjaciółka Lizzie, mieszkała w domu z rozległym ogrodem. Gdy dotarli na miejsce, zobaczyli, że drzewa przystrojono lampkami. Goście zgromadzili się wokół grilla, czekając, aż upieką się kiełbaski, których smakowity zapach rozchodził się w mroźnym powietrzu. Wszyscy śmiali się i rozmawiali z ożywieniem.

— Cześć, Lizzie! — Matka Annę powitała ich ciepło i przedstawiła tym z gości, których jeszcze nie znali.

— Gdzie trzymacie sztuczne ognie? — spytał Jack bez zbędnych wstępów.

Bryony położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się do gospodyni.

— Jack jest konsultantem na nagłych wypadkach — wyjaśniła pośpiesznie. — My, lekarze, podchodzimy do

fajerwerków z wielką nieufnością. Proszę nie zwracać na to uwagi.

— Mój mąż wszystko kontroluje — zapewniła kobieta.
— Dzieci nie będą dopuszczone do fajerwerków. Co najwyżej do zimnych ogni.

Bryony spostrzegła, że Jack już otworzył usta, więc zanim zdążył coś powiedzieć, zawołała:

— Świetnie! — Zacisnęła dłoń na jego ramieniu. — Te kiełbaski wspaniale pachną — dodała z entuzjazmem.

— Powinny już być gotowe. — Matka Annę poprowadziła ich do stołu zastawionego jedzeniem. — Bierzcie bułki, keczup i życzę smacznego.

Kiedy odeszła, Jack zgromił Bryony wzrokiem.

— Będę miał siniec na ręku.

— Musiałam cię powstrzymać, żebyś nie przyniósł Lizzie wstydu — syknęła, jednocześnie uśmiechając się słodko do innych matek. — Zjedz coś i postaraj się rozluźnić. Zrozum, że na oddziale stykasz się wyłącznie ze skutkami nieszczęśliwych wypadków. Nie widzisz normalnych, udanych przyjęć z fajerwerkami.

Zapadła długa cisza, a potem ku jej zdziwieniu Jack odetchnął głębiej i uśmiechnął się.

— Masz rację — stwierdził krótko, przeczesując włosy palcami. — Zachowuję się jak idiota. Ale to dlatego, że tak bardzo kocham Lizzie.

— Wiem. — Bryony rozpogodziła się. Wiedziona nagłym impulsem stanęła na palcach i pocałowała go w policzek. Wyczuła dotyk szorstkiego zarostu i delikatny, charakterystyczny dla Jacka męski zapach.

— A to za co? — Spojrzał na nią zaskoczony.

— Za to, że jesteś, jaki jesteś — powiedziała. Zaraz jednak przypomniała sobie, że postanowiła panować nad

uczuciami wobec Jacka, więc odeszła w głąb ogrodu, żeby znaleźć córkę.

— Pocałowałaś Jacka! — Lizzie patrzyła na nią z zaciekawieniem. Bryony zaczerwieniła się.

— Tylko w policzek — wyjaśniła pośpiesznie, a dziewczynka przechyliła głowę w bok.

— Jack to by był fajny tata.

Udając, że tego nie słyszała, Bryony wdała się w rozmowę ze znajomą. Starła się nie patrzeć na Jacka, który nieopodal gawędził z jedną z najładniejszych matek w szkole. Coś ścisnęło ją za serce, kiedy zobaczyła, jak kobieta śmieje się do niego zalotnie. Znów upomniała się w duchu, że powinna zająć się własnym życiem, a nie rozmyślać o Jacku. Skupiła się na wydawaniu jedzenia dzieciom i wycieraniu ich umorusanych keczupem twarzy.

Gdy ojciec Annę rozpałił ognisko, płomienie szybko strzeliły ku niebu, jasno oświetlając ogród.

— Dzieci, zostańcie tutaj — polecił. — Zaraz zacznę puszczać sztuczne ognie.

— Mamo, mogę dostać jeszcze coś do picia? — Lizzie pociągnęła ją za rękaw. Policzki miała zaczerwienione od mrozu. Bryony wzięła ją za rękę i zaprowadziła do stołu.

— Na co masz ochotę? — Sprawdziła zawartość ustawionych na stole kartonów. — Może być sok jabłkowy?

— Poproszę. — Lizzie wyciągnęła kubek i rozejrzała się uszczęśliwiona. — Ale fajnie! Ty, ja i Jack, wszyscy razem.

Bryony przełknęła ślinę.

— Ale nie jesteśmy... — Uśmiechnęła się blado. — Tak, skarbie, fajnie nam razem.

Z drugiego końca ogrodu rozległy się radosne okrzyki

dzieci, które bawiły się coraz bliżej ogniska. Bryony poczwała wkłucie lęku. Dzieci stoją tak blisko ognia...

Już otworzyła usta, by je upomnieć, ale zauważyła, że inni rodzice śmieją się i rozmawiają beztrzesko, więc zrezygnowała. Musi zachowywać się jak normalna matka, nie jak lekarz, który wszędzie widzi zagrożenie.

— Mogę iść się bawić? — Lizzie odstawiła kubek i chciała odejść, ale Bryony chwyciła ją za ramię. Miała bardzo złe przeczucia.

— Nie, Lizzie. Lepiej będzie...

Zanim dokończyła zdanie, usłyszała przeraźliwy krzyk Annę. Zobaczyła ze zgrozą, że jej ubranie stanęło w płomieniach. Ogień buchnął z przerażającą siłą.

— Mój Boże! Jack! — krzyknęła na cały głos i ruszyła biegiem w stronę dziewczynki, po drodze zdejmując płaszc.

Jack znalazł się na miejscu przed nią. Przewrócił dziecko na ziemię i nakrył własną kurtką.

— Dajcie zimną wodę! — polecił ochrypłym głosem.

Ludzie się rozbiegli, tylko Bryony stała w miejscu, zbyt wstrząśnięta, żeby się poruszyć.

Jack przemawiał spokojnie do dziewczynki:

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Już w porządku. — Podniósł głowę i spojrzał na jednego z ojców. — Wezwij karetkę i przyciągnij tu wąż ogrodowy. Potrzebuję też folii samoprzylegającej. Blondi, pomóż mi zdjąć z niej ubranie.

Bryony stała jak zakłęta.

— Doktor Hunter — rzekł ostro. — Potrzebuję pomocy.

To przywołało ją do rzeczywistości. Skinęła głową i nabrała powietrza w płuca. Starła się zapomnieć, że poparzona dziewczynka to Annę, przyjaciółka jej córki.

Matka Annę krzyczała histerycznie w objęciach innych

matek, a dwaj ojcowie, do których szczęśliwie dotarło, co mówił Jack. rozwijali węża ogrodowego.

— Wszystko będzie dobrze — powtarzał Jack spokojnym głosem, dodając dziewczynce otuchy. Zdjął z niej kurtkę i ujął koniec węża z wodą.

Bryony przyklęła obok.

— Co mam robić? — zapytała.

Czuła, że ze zdenerwowania za chwilę zemdleje, natomiast Jack jak zwykle zachowywał całkowitą przytomność umysłu.

— Ubranie nadal się tli. Jeśli nie przywarło do ciała, trzeba je z mej zdjąć.

Polał wodą ciało dziewczynki, by je schłodzić, a Bryony zaczęła zdejmować z niej odzież.

— Dajcie nożyczki.

Szybko się znalazły. Przy cięciu ubrania Bryony uważała, żeby nie naruszyć tych fragmentów, które przyłgnęły do poparzonej skóry.

— Jest poparzona od pasa w dół — ocenił Jack. — To dlatego, że pierwsza zajęła się jej spódniczka. Czy ktoś wezwał karetkę?

— Ja wezwałam — drżącym głosem powiedziała Lizzie, stając obok nich. — Powiedzieli, że przyjadą za dwie minuty.

— Dzielna mała. — Z aprobatą skinął głową. — Skarbie, potrzebuję trochę folii samoprzylegającej. Takiej, jakiej używa się w kuchni. Mamy są zbyt zdenerwowane, a tatusiowie chyba zapomnieli o mojej prośbie. Możesz jej poszukać?

Lizzie skinęła głową i natychmiast pobiegła w stronę domu. Wróciła po niespełna minucie, niosąc wąskie, długie pudełko.

— Brawo. Otwórz je, proszę — polecił Jack.

Lizzie wyjęła rolkę folii i odszukała jej koniec.

— Ile ci potrzeba?

— Ja to zrobię, Lizzie. — Bryony wyjęła z rąk córki rolkę. Nie chciała, by dziewczynka zobaczyła poparzenie koleżanki. — Idź do domu. Tani są mnie dzieci.

— Ale ja chcę pomóc.

Usłyszeli sygnał zbliżającej się karetki. Jack spojrzał na Lizzie.

— Wyjdź im na spotkanie — powiedział. — Powiedz, że potrzebuję tlenu, dwóch kaniul, morfiny i płynów do podania dożylnego. Zapamiętasz?

Lizzie skinęła głową.

— Jack. ona tego nie zapamięta — stwierdziła Bryony. — Ma dopiero siedem lat.

— Zapamięta — odrzekł z przekonaniem, nie spuszczać wzroku z Lizzie. — Tlen. kaniule, płyny i morfina. Biegnij, aniołku.

Lizzie pomknęła do bramy, a Jack i Bryony zajęli się opatrywaniem ran Annę.

— Przynieście nam czyste prześcieradła — zwróciła się Bryony do jednego z ojców\ bezradnie krążącego wokół rannej.

— I niech ktoś zgasi to ognisko — dodał Jack. sprawdzając puls i oddech dziewczynki.

Już nie krzyczała, tylko leżała, dygocąc i cicho łkając. Ojciec trzymał ją za rękę. W głębi ogrodu kobiety uspokajały jej rozhisteryzowaną matkę.

Kilka sekund później przybyli sanitariusze w towarzystwie Lizzie. Przynieśli wszystko, czego Jack potrzebował.

Uśmiechnął się do dziewczynki ciepło i z aprobatą.

— Jesteś bardzo dzielna — powiedział. Mimo napięcia Lizzie odwzajemniła jego uśmiech. — Będiesz mi jeszcze potrzebna — zapowiedział. — Zaraz założymy Annę kroplówkę i podamy jej dożylnie płyn. Potem zawieziemy ją do szpitala. Potrzymaj to.

Bryony patrzyła na niego w wahaniem, niepewna, czy należy narażać córkę na takie przeżycia, ale Jack najwyraźniej postanowił ją włączyć do akcji ratowniczej. Dziewczynka w skupieniu słuchała jego instrukcji i wypełniała polecenia.

— Podać Annę morfinę? — spytała, z niepokojem patrząc na dziecko.

— Dożylnie. — Jack sprawnie założył wenflon. — Daj jej morfinę i cyklizynę. — Łagodnie zwrócił się do dziecka. — Zaraz poczujesz się lepiej. Potem zabierzemy cię do szpitala. Jesteś bardzo dzielna.

Wspólnie z Bryony zajęli się dziewczynką, porozumiewając się niemal bez słów. W końcu stan Annę się ustabilizował i można ją było zabrać do karetki.

— Pojadę z nią— oznajmił Jack. — Ty odwieź Lizzie do babci, a potem dołącz do mnie w szpitalu.

— Ja też chcę jechać — oświadczyła Lizzie.

— Nie, kochanie. — Bryony potrząsnęła głową.

— Weź ją — Jack zmienił zdanie. — Później odwiezę ją do domu. Zaczeka w pokoju lekarskim.

Wyjął z kieszeni kluczyki od samochodu i z cierpkim uśmiechem podał je Bryony.

— Jeśli uszkodzisz mój wóz. Blondi. to po tobie. — Podał kluczyki Lizzie i skinął głową. — Zaczekaj na mamę przy samochodzie, aniołku.

Lizzie odeszła, a on wziął Bryony za ramiona i spojrział jej w oczy.

— Przed chwilą widziała, jak jej najlepsza przyjaciółka staje w płomieniach — powiedział cicho. — Długo tego nie zapomni i będzie jej łatwiej ze świadomością, że na coś się w tej sytuacji przydała. Zaufaj mi, wiem, co robię. Nasza Lizzie to twarda sztuka. Dojdzie do siebie, tylko pozwól mi działać po swojemu.

Bryony przełknęła ślinę i skinęła głową. Lizzie przeżyła wstrząs, więc może rzeczywiście będzie lepiej, jeśli zostanie włączona w akcję.

Podeszli do nich rodzice Annę. Matka, z twarzą moką od łez, przywarła do ojca.

— Możemy z nią pojechać?

Jack wymienił spojrzenia z jednym z ratowników i skinął głową.

— Oczywiście. Starajcie się zachować spokój. Musicie być silni. Jeśli Annę zobaczy, że jesteście przerażeni, sama wpadnie w panikę.

Bryony zaczekała, aż dziewczynka została zaniesiona do karetki, a potem dołączyła do Lizzie.

Otworzyła drzwi pilotem i roześmiała się krótko. Sytuacja rzeczywiście musiała być niezwykła, skoro Jack pozwolił jej prowadzić swój ukochany sportowy wóz.

Uruchomiła silnik i przez chwilę słuchała jego niskiego pomniku. Przekonywała się w duchu, że to zwykły samochód, taki sam jak jej, tylko piętnaście razy droższy i nieco szybszy.

— Ech, ci chłopcy i ich zabawki — wymamrotała lekceważąco i ostrożnie wyjechała na podjazd. Miała nadzieję, że na drodze nie będzie zbyt dużego ruchu.

W szpitalu zaprowadziła Lizzie do pokoju lekarskiego i obiecała córce, że jak tylko będzie mogła, zajrzy do niej i opowie, co się dzieje.

Jack już zajmował się Annę, wraz z Seanem Nicholsonem i resztą zespołu. Bryony natychmiast włączyła się do akcji.

— Wysyłasz ją do specjalistycznej klmiki leczenia poparzeń? — zapytała Jacka po jakimś czasie.

— Tak. Helikopter już czeka. Zabierze ją, jak tylko damy znać, że jest gotowa.

Bryony spojrzała na małą pacjentkę. Annę co chwila zapadała w płytki sen i nie do końca zdawała sobie sprawę, co się wokół niej dzieje.

— Dałem jej środki uspokajające — powiedział cicho Jack, opatrując ostatnie oparzenia. Skinął głową pielęgniarce. — Gotowe. Ruszamy.

— Polecisz z nią?

— Tak. Jedź z Lizzie do domu moim samochodem. Zobaczymy się później.

— Jak wrócisz do siebie?

— Poproszę, żeby ambulans podwiózł mnie do was, albo wezmę taksówkę. — Obojętnie wzruszył ramionami.

— Dobrze. Chcesz, żebym porozmawiała z rodzicami Annę?

— Ja to zrobię — zaproponował Sean. — Ty wracaj z córką do domu, a Jack niech od razu idzie do helikoptera.

Bryony układała Lizzie w łóżku, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

— To pewnie Jack — domyśliła się. Pocałowała dziewczynkę w czoło i poszła otworzyć.

Jack wszedł do środka, lekko drżąc z zimna, i dopiero wtedy Bryony przypomniała sobie, że użył kurtki do gaszenia ognia, więc został w samym swetrze. Musiał być przemarznięty.

— Usiądź przy kominku — zachęciła go, a on skwapliwie skorzystał z propozycji i ogrzał dłonie nad płomieniem.

— Jak tu miło i ciepło — stwierdził. — Czy moja mała królewna już śpi?

Bryony ze zmartwioną miną potrząsnęła głową.

— Nie. Ma trudności z zaśnięciem. To zdarzenie wytrąciło ją z równowagi.

— Trudno się dziwić. Porozmawiam z nią.

Oboje poszli do sypialni Lizzie. Jack przysiadł na skraju łóżka dziewczynki.

— Jak się masz? — zagadnął cicho.

Lizzie podniosła na niego swe wielkie niebieskie oczy.

— Cześć, wujku. — Uśmiechnęła się blado. — Z Annę jest bardzo źle, prawda?

Jack zawahał się.

— Nie najlepiej — przyznał, a Bryony ucieszyła się w duchu, że nie skłamał. Wiedziała, że stan Annę jest poważny i gdyby coś jej się stało, Lizzie uznałaby, że oboje ją okłamywali.

— Czy ona umrze? — Głos dziewczynki zadrżał.

— Nie, skarbie. Jestem pewien, że nie umrze. Właśnie odwiozłem ją do takiego specjalnego szpitala, gdzie bardzo dobrze się znają na oparzeniach.

— Mogę ją tam odwiedzić?

— Jasne — zapewnił ją pospiesznie. — Wybierzemy się tam razem.

Nagle w oczach dziewczynki ukazały się łzy. Widząc to, Jack bez namysłu posadził ją sobie na kolanach.

— Nie płacz, aniołku. — Pogładził ją po głowie i z rozpaczą w oczach spojrzął na Bryony. — Wspaniale się zachowałeś. Jesteś moją małą gwiazdeczką. Wszyscy

dorośli wpadli w panikę, a ty byłaś opanowana jak doświadczony ratownik.

Lizzie pociągnęła nosem.

— Powiedziałam ratownikom z karetki wszystko, co mi kazałeś.

— Wiem — przyznał z uśmiechem. — To było po prostu niesamowite. Jestem z ciebie taki dumny. Bardzo mi pomogłaś.

— Pomogłam? — Lizzie nieco się rozpogodziła. — Naprawdę?

— Naprawdę. Zrobiłaś wszystko jak należy. Jesteś niezwykłą osobą.

— Jestem niezwykła?

— Jasne. Niewielu dorosłych zachowałoby się tak przytomnie. Któregoś dnia, jeśli tylko zechcesz, zostaniesz wspaniałym lekarzem.

Bryony czuła, że wzruszenie ściska ją za gardło.

— Takim lekarzem jak ty i mama? — dopytywała się dziewczynka.

Jack uśmiechnął się szeroko.

— No, może nie takim wspaniałym jak ja — odparł żartobliwie, puszczając oko do Bryony. — Ale na pewno znakomitym.

Lizzie roześmiała się i klepnęła go w ramię.

— Przechwalasz się, wujku, a to nieładnie. — Zarzuciła mu ręce na szyję. — Bardzo się cieszę, że oboje z mamą tam byliście.

Jack na chwilę zacisnął powieki, a Bryony odgadła, jakie myśli przelatują mu przez głowę. Wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby na miejscu nie było lekarza, który potrafi udzielić pierwszej pomocy, albo gdyby to Lizzie znalazła się za blisko ognia.

— Czas spać — powiedział w końcu. Ułożył ją w pościeli, starannie okrył kołdrą i włączył różową lampkę nocną. — Pójdziemy z mamą do kuchni. Jeśli będziesz czegoś chciała, zawołaj.

— Zostań dziś u nas na noc.

— Dobrze, zostanę — zgodził się natychmiast — Zanoceję w pokoju gościnnym.

Lizzie uśmiechnęła się sennie. Już mieli wyjść, kiedy znów się odezwała:

— Wujku?

— Słucham, aniołku.

— Pobawisz się ze mną jutro, jak się obudzę?

— Oczywiście.

— Pobawimy się w ślub?

— To moja ulubiona zabawa — odrzekł cicho. Wrócił od drzwi i jeszcze raz pocałował ją na dobranoc. — A teraz spać. Nie możesz mieć na własnym ślubie sińców pod oczami.

Dziewczynka parsknęła śmiechem. Była teraz o wiele spokojniejsza.

— Mamusiu, zostawisz otwarte drzwi?

— Jasne. Jeszcze tu do ciebie zajrzę.

Kiedy przeszli do kuchni. Bryony odezwała się:

— Dziękuję ci. Powiedziałaś to, co trzeba. W ogóle postąpiłaś słusznie. Ja w pierwszym odruchu chciałam ją zabrać jak najdalej od miejsca wypadku.

— Też bym tak zrobił, gdyby na własne oczy nie widziała, jak jej koleżanka staje w płomieniach. — Zmęczony Jack usiadł ciężko na krześle. — Myślałem głównie o Annę, ale przyszło mi do głowy, że Lizzie lepiej się poczuje, jeśli damy jej możliwość włączenia się do akcji ratunkowej.

— I tak się stało. — Wyjęła z lodówki butelkę wina i podała mu wraz z korkociągiem. — Mam nadzieję, że nie przyśniącej się koszmary.

— To twardy dzieciak. — Otworzy! butelkę i postawił na stole. — Dojdzie do siebie. Jak tylko Annę poczuje się lepiej, zabierzemy Lizzie do szpitala, żeby ją zobaczyła.

My. Mówi o nich, jakby byli rodziną, przez co Bryony trudno jest pamiętać, że postanowiła zdusić w sobie skrywane uczucie do Jacka. Przypomniała sobie, jak sprawnie pomógł Annę, i wzruszenie znów ścisnęło jej gardło.

— Zdziwiasz mnie, wiesz? — Starając się mówić lekkim tonem, sięgnęła po kieliszki. — Nigdy nie tracisz panowania nad sobą, żeby nie wiem co się działo. Jak zobaczyłam Annę w płomieniach, po prostu mnie sparaliżowało.

— Najwyżej na trzy sekundy — odrzekł pogodnie i napełnił kieliszki. — Praca na dobrze wyposażonym oddziale to zupełnie co innego niż taka niespodziewana akcja. Masz, napij się. Obojgu nam to dobrze zrobi.

— Powinnam najpierw przyrządzić coś na kolację.

— Nie musisz gotować. — Pociągnął łyk wina i jęknął z zachwytu. — Jakie dobre! Zamówmy pizzę albo coś w tym guście.

Bryony zaśmiała się.

— Nie mogę tego zrobić. Lizzie znajdzie rano pudełko i mnie udusi. Uwielbia pizzę.

— W takim razie zamówię coś orientального. Na co masz ochotę?

Bryony wzruszyła ramionami.

— Ty wybierz.

Tak też zrobił. Pół godziny później przyniesiono zamówienie. Wszystkie potrawy okazały się wyborne.

Dopijali wilio, kiedy usłyszeli krzyk Lizzie. Oboje pobiegli do jej pokoju. Dziewczynka szlochała głośno, przytulając pluszową syrenkę. Buzię miała mokrą od łez.

— Ciągle myślę o Annę...

Bryony objęła ją mocno i delikatnie kołysała.

— To naturalne, skarbie. Annę to twoja przyjaciółka. Nie martw się, ona wyzdrowieje.

Modliła się w duchu, by jej słowa się sprawdziły. Jeśli Annę me wyzdrowieje...

Lizzie w końcu przestała płakać i znów zasnęła, a oni na palcach wrócili do kuchni. Bryony cały czas się zastanawiała, jaki wpływ wywrze to traumatyczne przeżycie na jej dziecko. Bardzo chciała, by Jack objął ją i pocieszył, ale nie potrafiła go o to poprosić.

Nagle spojrzała na niego i zrozumiała, że on czuje to samo.

— Nienawidzę przyjęć z fajerwerkami.

Głos miał ochrypły, a Bryony po raz pierwszy zauważyła, że i on jest wstrząśnięty i zmęczony.

— Wiesz, nie pomyślałam, że ty też bardzo to przeżyłeś — powiedziała cicho, patrząc na niego z troską. — Zawsze wydajesz się taki silny, opanowany. Wszyscy wokół panikują, tracą głowę, a ty pozostajesz spokojny. Łatwo zapomnieć, że też masz uczucia.

— No co ty! Przecież jestem twardzielem — rzekł z uwodzicielskim uśmiechem, chociaż oczy miał smutne.

— Masz ochotę na kawę, twardzielu? — spytała żartobliwie.

— Nie siadam dzisiaj za kierownicę, więc wolę dokończyć wino — przyznał. — Nie masz nic przecrwko temu, żebym zanocował?

— Jasne, że nie. — Ciekawe, dlaczego serce bije jej tak

mocno? Jack już nieraz u niej nocował. Dlaczego tym razem reagowała na to jakoś inaczej?

— Przygotuję ci coś do spania — powiedziała sztywno.

— Nie zwracaj sobie głowy. I tak śpię bez niczego — powiedział, chwytając ją za ramię.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę, starając się nie myśleć o tym, że Jack będzie spał pod jej dachem.

— Jack...

— Tak naprawdę potrzebuję tylko tego, żeby ktoś mnie przytulił. — Nie czekał na jej odpowiedź, przyciągnął ją do siebie, objął i ukrył twarz w jej włosach.

Bryony nie mogła oddychać. Pod policzkiem czuła miarowe bicie jego serca. Bliskość jego silnego, mocnego ciała wywołała w niej natychmiastową reakcję.

Stali tak przez jakiś czas, a Bryony marzyła o tym, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

Jack stopniowo rozluźnił uścisk i ujął ją za ramiona. Uważnie spojrzał jej w oczy. Ogarnęło ją dziwne ciepło. Miała wrażenie, że za chwilę jej ciało się rozpułynie z tęsknoty za czymś niedopowiedzianym.

Dostrzegła w oczach Jacka jakiś dziwny błysk. On chyba zamierza ją pocałować. Wreszcie, po tylu latach marzeń. Jack rzeczywiście ją pocałuje!

Oszołomiona i przejęta spojrzała mu w oczy, wstrzymując w oczekiwaniu oddech. Nagle opuścił ramiona i z nieprzeniknioną miną odsunął się od niej.

— Pora spać, Blondi — stwierdził lekkim tonem, zerkając na ścienny zegar. — Późno już. a oboje jesteśmy zmęczeni.

Próbowała się uśmiechnąć, ale bezskutecznie. Ogarnęło ją wielkie rozczarowanie, sprawiając niemal fizyczny ból.

Ale niby dlaczego Jack miałby ją pocałować?

Zacisnęła zęby. wściekła na samą siebie. Znowu ro samo. Nie potrafi przestać fantazjować na jego temat.

Na nic jej postanowienie, że będzie widywała się z innymi i wybije sobie z głowy Jacka. Dotychczas była tylko na jednej, kompletnie nieudanej randce, i nadal istniał dla niej tylko Jack. Musi kogoś pocałować, może to rozładuje jej napięcie. Nie wolno jej dłużej porównywać innych mężczyzn z Jackiem.

Na pewno istnieje ktoś, kto wygląda w dżinsach równie atrakcyjnie jak on; ktoś, kto zawsze dobrze wie, co zrobić w sytuacji kryzysowej; ktoś. na czyj widok uginają się pod nią kolana.

I ona tego kogoś znajdzie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Listopad minął bardzo szybko, a stan Annę stopniowo się poprawiał.

— Poparzone są przede wszystkim te fragmenty ciała, które znajdowały się pod spódniczką — powiedział Jack, kiedy zrobili sobie z Bryony krótką przerwę na kawę podczas popołudniowego dyżuru. — Rozmawiałem wczoraj z konsultantem. Trzeba będzie zrobić rozległe przeszczepy skon*.

— Biedne dziecko. — Bryony skrzywiła się boleśnie na myśl o długotrwałej hospitalizacji, która czekała dziewczynkę. — To będzie dla niej bardzo ciężkie przeżycie.

Jack skinął głową.

— Ale żyje. A Lizzie zadziwiająco szybko odzyskała równowagę psychiczną.

— Tak. — Uśmiechnęła się. — Bardzo się o nią martwiłam, ale na szczęście dobrze sobie z tym poradziła. Często odwiedzamy Annę, a to na pewno pomaga. Lizzie narzuciła sobie rolę łączniczki między Anną a szkołą. Przynosi jej książki, prace domowe i dba, żeby Annę znała wszystkie klasowe plotki.

— Wspaniała dziewczynka. — Jack dopił kawę, ziewnął, usiadł wygodnie i wyciągnął przed siebie nogi. — A więc, Blondi, jutro mamy pierwszy grudnia — zagaiał.

— Nie przypominaj mi. — Ponuro wbiła wzrok w kubek z kawą. — Został mi niecały miesiąc na załatwienie

prezentu gwiazdkowego dla Lizzie. Coraz częściej myślę, że to zadanie jest niewykonalne.

W oczach Jacka pojawił się dziwny błysk.

— A więc romans z Davidem Armstrongiem nie wypalił?

Jaki romans? Spojrzała na niego zaskoczona.

— Spotkaliśmy się dwukrotnie. Za pierwszym razem zamieniliśmy może ze dwa słowa, ponieważ ciągle do mnie dzwoniłeś. Oczywiście, me winię cię za to, że Lizzie akurat wtedy była bardzo grymaśna — dodała szybko, by sobie nie pomyślał, że majakieś zastrzeżenia co do jego postępowania. — Drugie spotkanie też nie było udane, bo wezwałeś go do szpitala do jakiegoś pilnego przy-padku. To także nie była twoja wina.

— Od tamtej pory nigdzie cię nie zaprosił? — zapytał Jack z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— A wiesz, to zabawne, ale zadzwonił do mnie dziś rano — wyznała. — W sobotę idziemy na kolację do Złotego Bażanta. Żadne z nas nie ma wtedy dyżuru, a Lizzie przenocuje u mojej mamy. Tym razem nic nam nie przeszkodzi.

I tym razem go pocałuje. Już to sobie postanowiła.

Mocno wierzyła, że to jedyny sposób, żeby wyleczyć się z obsesji na punkcie Jacka. David był bardzo przystojny, wiele pielęgniarek podkochiwało się w nim skrycie. a pewno umie doskonale się całować.

To stanie się w sobotę. Zaprosi Davida na kawę i go pocałuje.

Następny dzień w szpitalu okazał się niewiarygodnie pracowity.

— To wszystko przez oblodzone drogi — stwierdził

znużonym głosem Sean, kiedy lekarzom udało się znaleźć wolną chwilę na wypicie kawy. — Ludzie jeżdżą o wiele za szybko. Przewiduję, że to nie koniec na dzisiaj.

Jego przewidywania okazały się słuszne. O siódmej Bryony odebrała wiadomość od załogi karetki.

— Kobieta, lat dwadzieścia dwa. Przytomna, ale w szoku. Skarży się na bóle w klatce piersiowej — powiadomiła Seana i Jacka.

Zaledwie skończyła zdanie, drzwi się otworzyły i ratownicy wwieźli do środka ofiarę wypadku.

— Prosto do sali reanimacyjnej — polecił Jack.

Ranną zajęła się reszta zespołu, on tymczasem zadał ratownikom kilka pytań na temat wypadku.

— To było uderzenie boczne — powiadomił go jeden z nich. — Ona prowadziła, a ten drugi pojazd wjechał prosto w bok samochodu. Pasażerowi właściwie nic się nie stało. Jest teraz w rejestracji, podaje jej dane.

Jack skinął głową i przyjrzał się pacjentce.

— Ma krwiaka na szyi. Trzeba natychmiast zrobić prześwietlenie klatki piersiowej i próbę krzyżową. Potrzebne będzie co najmniej dziesięć jednostek krwi — powiedział cicho i spojrzał na Bryony.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— Mam przeczucie. Nicky, zmierz pacjentce ciśnienie krwi w obu rękach.

Radiolog prześwietlił chorą, a pielęgniarka zmierzyła ciśnienie.

— W jednej ręce jest inne. w drugiej inne — stwierdziła, a Jack pokiwał głową.

— Tego się spodziewałem. Zawiadomcie szybko chirurgię. Zobaczmy, co wykazało prześwietlenie.

Poszli w drugi koniec sali, by obejrzeć zdjęcie. Kiedy

znaleźli się poza zasięgiem słuchu pacjentki, Bryony spytała:

— Dlaczego kazałeś przygotować tak dużo krwi?

— Wydaje mi się, że ma pękniętą aortę.

Oczy Bryony rozszerzyły się ze zdumienia.

— Ale w takim przypadku szanse na przeżycie wynoszą tylko dziesięć procent. Właściwie ona powinna już być martwa.

Jack mvażnie patrzył na zdjęcie.

— Chyba że krwawienie nastąpiło do przydanki aortalnej. Mimo to nadal grozi jej wykrwawienie.

Bryony spojrzała na zdjęcie w rękę Jacka.

— Pokaż, co potrafisz. Blondi. Powiedz mi, co tu widzisz — zachęcił.

— Śródpiersie jest rozszerzone.

— Jakie to ma znaczenie?

Przygryzła wargę i zastanowiła się.

— Samo w sobie nie byłoby to niepokojące, gdyby nie inne czynniki — powiedziała w końcu, przypominając sobie czytany jakiś czas temu artykuł.

— Jakie czynniki?

Jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu.

— Tchawica przesunięta w prawo. Zarys aorty jest niewyraźny, a łuk aortalny umedroźniony.

— Co jeszcze?

— Obraz jest nieostry. — Wytężyła wzrok. — Tego przedtem nie zamvażyłam. Czy to krwiak opłucnej?

— Zdałaś celująco. — Uśmiechnął się do niej leniwie, ale w jego oczach dostrzegła podziw — Prawostronny krwiak opłucnej spowodowany urazowym pęknięciem aorty piersiowej. W tej chwili się nie powiększa. Nie zawsze wychodzi to na zdjęciu, ale tym razem się udało.

Bryony poczuła, że serce uderzyło jej mocniej. Pacjentka miała szczęście, że przeżyła.

— I co teraz?

— Natychmiastowa interwencja chirurgiczna. A tymczasem musimy ostrożnie podawać jej płyny, żeby krwawienie się nie nasiliło.

— I pewnie należałoby dać jej dobry środek przeciwbólowy, żeby nie podniosło się ciśnienie.

Jack znacząco spojrział na jasne włosy Bryony i potrząsnął głową.

— Niesamowite.

Dyskretnie pokazała mu język, ale on tylko uśmiechnął się zniewalająco. Poczuła, że kolana znów się pod nią ugnają. Na szczęście w tej samej chwili do sali weszli chirurdzy i wszyscy zaczęli omawiać stan pacjentki. Po chwili zgodnie stwierdzili- że należy ją przewieźć do sali operacyjnej.

Kiedy ramia została przekazana zespołowi chirurgów. Bryony spytała Jacka:

— A co by było, gdyby zdjęcie rentgenowskie me pokazało jasno jej obrażeń?

— Skonsultowałbym się z radiologiem i poprosił o wykonanie badania tomograficznego. Zawsze warto pytać o szczegóły wypadku. Sanitariusze mówili, że inny pojazd uderzył w bok jej samochodu od strony kierowcy. Duża część tego typu obrażeń jest spowodowana właśnie przez takie boczne uderzenia. Aorta zwykle pęka tam, gdzie zbiega się z żyłą płucną.

— Przy więzadle tętniczym — wtrąciła Bryony, a Jack przewrócił oczami.

— Nie znoszę przemądrzałych blondynek — stwierdził. Bryony ze współczuciem pokiwała głową.

— Przykro mi, że twoje wysokie mniemanie o sobie cierpi.

— Nie wiem, jak sobie z tym poradzę. — Oczy błyszczały mu wesoło. — Po czym poznać mądrą blondynkę? — zapytał.

— Po odrostach — odrzekła bez wahania i przechyliła głowę w bok. — Dlaczego mężczyźni są jak koty?

— No powiedz... — Kąciki warg mu drgały.

— Bo przychodzą natychmiast, jak tylko postawisz na stole jedzenie.

— Co za seksistowski żart.

— Po prostu odpłacam ci pięknym za nadobne.

Uśmiech Jacka nagle zniknął.

— Skoro już mowa o jedzeniu. Zdaje się, że jesteś jutro umówiona na kolację.

— Tak. — Zmarszczyła brwi, przypomniawszy sobie, że na znalezienie ojca dla Lizzie zostały jej tylko trzy tygodnie. Czeka ją niezmiennie trudne zadanie.

Ale David umówił się z nią po raz trzeci, więc pewnie mu się spodobała.

Naprawdę miło jej się z nim rozmawiało. Zerknęła na Jacka i szybko odwróciła wzrok. Nie będzie ich porównywać. Owszem, Jack jest niesamowicie przystojny, inteligentny i obdarzony poczuciem humoru, ale nie zamierza się z nikim wiązać. Nie nadaje się więc na partnera życiowego.

A David przynajmniej zwrócił na nią uwagę.

Ona też przyjrzy mu się bliżej i okaże mu sympatię. Postanowiwszy to, wyszła z sali, bo inaczej nie mogła się powstrzymać od ciągłego zerkania na Jacka.

— Bardzo się cieszę, że spędzimy razem ten wieczór.

— Bryony wsiadła do samochodu Da vi da i uśmiechnęła się. — Podobno w tej restauracji podają znakomite jedzenie, a Lizzie nocuje u mojej mamy. więc nic nam nie przerwie rozmowy.

David zaczekał, aż Bryony zapnie pasy, i wrzucił pierwszy bieg.

— Miejmy nadzieję...

Dziesięć minut później weszli do restauracji. Bryony z zachwytem spostrzegła świątecznie przybraną choinkę ustawioną tuż przy kominku, na którym płonął ogień.

— Jak tu pięknie!

I romantycznie. W tej atmosferze ich znajomość na pewno wejdzie w nowy wymiar.

Zdjęła płaszczy i poczuła, że David ją ocenia.

— Wspaniale wyglądasz — powiedział cicho.

Uśmiechnęła się nieśmiało, zadowolona, że jednak kupiła tę czerwoną suknię, którą tydzień wcześniej wypatrzyła.

— Ty też — odrzekła.

Mówiła prawdę. David miał na sobie ciemny, świetnie skrojony garnitur, a kiedy kierowca prowadził ich do stolika, obejrzało się za nim kilka kobiet.

Cóż. na jego widok nie uginały się pod nią kolana, ale prezentował się całkiem nieźle. W obecności Jacka prawie robiło jej się słabo, co wcale jej się nie podobało. Nie mogła się skupić, nie mogła swobodnie oddychać. Myślała tylko o nim, a to przecież wcale nie jest pożądane w stałym związku.

Przy Davidzie przynajmniej nie omdlewa z wrażenia.

Kiedy już zamówili kolację. David uniósł kieliszek.

— Za wieczór bez przerywników.

Uśmiechnęła się, również uniosła kieliszek, ale zamiast coś powiedzieć, krzyknęła cicho:

— Och! To przecież Jack!

Darid zacisnął zęby i odstawił kieliszek na stół.

— Jaki Jack^

— Jack Rothwell. Właśnie wszedł z jakąś blondynką.

Bryony przyjrzała się towarzyszcze Jacka, czując ukłucie zazdrości. Długonoga platynowa blondynka w sukience ledwie zakrywającej majtki była wybitnie w jego guście. Bryony zauważyła, że dekolt sukni blondynki odsłania bardzo wiele, więc zerknęła na Jacka, oczekując na jego twarzy wyrazu dezaprobaty, on jednak wydawał się całkiem zadowolony. Oczy błyszczały mu uwodzicielsko, kiedy śmiał się z czegoś, co powiedziała dziewczyna.

Darid tymczasem zupełnie stracił nastrój. Z ponurą miną sięgnął po kieliszek.

— Cóż... — Bryony starała się nie patrzeć na Jacka i nie przejmować faktem, że jeszcze jej nie zauważył. — Czyś ty przypadek.

— Naprawdę? — Oczy Davida rozbłysły złowroźnie. Podsunął kieliszek kelnerowi, a ten dolał mu wina. — Nie zastanawia cię, dlaczego Jack Rothwell stara się popsuć każde nasze spotkanie?

— Popsuć? — powtórzyła zaskoczona i roześmiała się niepewnie. — Przecież on nie ma nic wspólnego z tym, że nasze dwa poprzednie spotkania nie były zbyt udane.

— Nie?

— W każdym razie dzisiaj na pewno nie próbuje nam przeszkadzać. Przecież ma towarzystwo. Nawet nas nie zauważył.

Zerknęła na Jacka i natychmiast tego pożałowała.

Siedział wychylony do przodu, całkowicie skupiwszy uwagę na swojej pięknej towarzysze. Szybko odwróciła wzrok, wmawiając sobie, że wcale jej to nie przeszkadza. Bo niby dlaczego miałoby? W końcu ona też przyszła tu w towarzystwie.

Zauważyła, że David patrzy na nią z dziwną miną.

— On wie, że tu jesteś — powiedział cicho. — Nie ma mężczyzny, który by cię nie zauważył.

Zaczerwieniła się, słysząc ten komplement.

— Miło, że tak mówisz, ale zapewniam cię, że Jack nie postrzega mnie tak, jak to sugerujesz.

Prawdę mówiąc, Jack chyba w ogóle nie widzi w niej kobiety. Chyba żeby włożyła na siebie coś, co mu się nie podoba. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby wystroiła się jak jego dzisiejsza towarzyszka. Pewnie kazałby ją zamknąć. Jednak najwyraźniej dziewczynie, która teraz przeciągle spoglądała mu w oczy, wolno jest ubierać się, jak jej się żywnie podoba.

Zdała sobie sprawę, że znów gapi się na Jacka, więc szybko przeniosła wzrok na Davida. Niestety, atmosfera już się zmieniła. Bryony wytrwale starała się podtrzymać ożywioną rozmowę, ale okazało się to ciężką pracą.

Przystawki zjedli niemal w milczeniu. W pewnej chwili Bryony znów ukradkiem zerknęła na Jacka.

Gdy ich oczy się spotkały. Bryony nerwowo przełknęła ślinę. A więc Jack jednak ją spostrzegł.

Nie odrywał od niej wzroku, a wszystko i wszyscy dokoła jakby odpłynęli gdzieś daleko. Istniał tylko Jack i tak samo jak ona nie chciał odwrócić spojrzenia. Serce rytmicznie łomotało jej w piersi, w żołądku czuła ucisk.

I nadal patrzyła Jackowi w oczy.

Patrzyliby tak na siebie przez całą wieczność, gdyby

kelner nie przyniósł następnego dania i nie przesłonił Bryony widoku.

Spojrzała na talerz i uświadomiła sobie, że wcale nie jest głodna. Dlaczego Jack tak dziwnie na nią patrzy?

Może nie pochwała jej randek z Davidem? Uważa, że spotyka się z niewłaściwym mężczyzną?

Przesuwała widelcem jedzenie na talerzu, choć wiedziała, że David skończył już drugie danie i obserwował ją w milczeniu.

— Chyba nie jesteś głodna — stwierdził w końcu.

— Nie bardzo. — Odłożyła widelec i uśmiechnęła się przepraszająco. — Wybacz.

— Nic nie szkodzi.

Skępowana przygryzła wargę. Kolejne spotkanie kończy się fiaskiem.

— Po prostu jestem trochę zmęczona. Mam za sobą ciężki tydzień.

— Chcesz jechać do domu?

Po chwili wahania skinęła głową.

— Tak. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Może zamówimy jeszcze kawę?

Przypomniała sobie o podjętym postanowieniu, że dziś go pocałuje.

— Nie — wychrypiała. — Napijemy się u mnie.

Spojrzał na nią z namysłem i trochę się rozpogodził.

— Świetny pomysł — stwierdził, wstając od stołu. — Zapłacę, a tymczasem kelner przyniesie nam płaszcze.

— Jeśli skończyliście. odwiozę Bryony do domu. — Niiski głos Jacka rozległ się tuż obok niej. — Dla mnie to po drodze.

Mężczyźni patrzyli na siebie ze skrywaną wrogością.

— Przyszliśmy tu razem — powiedział David sztywno.

Jack uśmiechnął się.

— Ale ja ją odwiozę do domu — odrzekł.

Bryony zdała sobie sprawę, że wszyscy goście na nich patrzą, zaczerwieniła się i pociągnęła Jacka za ramię.

— Na litość boską! Wywołujemy sensację.

Wzruszył ramionami na znak, że mało go obchodzi, co ludzie pomyślą. Jego towarzyszka podeszła bliżej, więc oznajmił z uśmiechem:

— Nino, to jest Darid. zaproponował, że odwiezie cię do domu.

Nma spojrzała tęsknie na Jacka, nie pozostawiając nikomu wątpliwości co do tego, jakie żywi wobec niego uczucia. Potem westchnęła głośno i posłała olśniewający uśmiech Daridowi.

— Jeśli nie sprawi to panu kłopotom...

Bryony zastanawiała się, dlaczego Nina tak łatwo przystała na zmianę planów. Kątem oka zauważyła, że wzrok Davida powędrował ku głęboko odsłoniętemu dekoltowi blond piękności. Patrzył na ten dekolt z nieukrywaną fascynacją, w końcu odchrząknął i przeniósł wzrok na twarz nowej znajomej.

— To żaden kłopot — zapewnił Ninę, a Bryony miała ochotę krzyknąć z frustracji.

Mężczyźni są tacy żałośni.

Kipiąc ze złości, pożegnała się z Davidem i Niną, a potem podążyła za Jackiem do samochodu. Kiedy oboje znaleźli się w środku i zapięli pasy, dała upust furii.

— To był wieczór mój i Darida! Nie miałeś prawa się wtrącać!

Jack cofnął samochód.

— Ja tylko zaproponowałem, że cię odwiozę.

— Nie zaproponowałeś, tylko narzuciłeś wszystkim

swoją decyzję. Da n d chciał mnie odwieźć i był gotów się przy tym upierać, ale ta twoja Nina podsunęła mi pod nos swój biust.

Jack uśmiechnął się, nieporuszony jej wybuchem.

— Robi wrażenie, prawda? Pomyślałem sobie, że skoro mu cię zabieram, powinien coś dostać w zamian.

Bryony zacisnęła zęby.

— Jesteś skończonym hipokrytą, wiesz? Miałeś chęć krytykować moją czarną sukienkę, a sam się umawiasz z dziewczyną, która nosi dekolt do pępka. Nie zauważyłam, żebyś próbował okryć ją płaszczem.

Jack spojrział na nią w półmroku samochodu. Oczy błyszczały mu łobuzersko.

— Potrzeba by bardzo dużego płaszcza. Poza tym nie chciałem pozbawiać ludzi takiego wspaniałego widoku — oznajmił leniwie, a Bryony poczuła, że oprócz złości ogarnia ją inne uczucie.

Zrobiło jej się przykro.

Najwyraźniej Jack uważa, że Nina w skąpej kreacji wygląda atrakcyjnie, ale kiedy to ona wyklada coś śmielszego, uznaje, że wygląda okropnie i stara się ją zakryć.

Daridowi się podobała, ale przez Jacka David znalazł się w towarzystwie Niny i teraz cieszy oczy widokiem jej dekoltu, ona tymczasem siedzi obok mężczyzny, który nie widzi w niej nic atrakcyjnego, i chyba nigdy nie zobaczy.

— Wiesz, Jack. czasami cię nienawidzę — burknęła, ale on tylko cicho się roześmiał.

— Nie wiem, dlaczego jesteś taka wzburzona, Blondi. Tym razem przewisko ją zirytowało.

— Umówiłam się z Davidem na randkę, a ty wszystko popsujesz.

Ku swojemu przerażeniu poczuła nagle rosnący ucisk w gardle. Rozpłakać się przy Jacku byłoby szczytem poniżenia.

Na szczęście nie odrywał wzroku od drogi.

— Niby jak wszystko popsułem?

— Jeszcze pytasz? — Spojrzała na niego z niedowierzaniem. — Spędzałam wieczór z mężczyzną, a ty zjawiłeś się nagle i uparłeś się, że odwieziesz mnie do domu. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak postąpiłeś.

— Drogi są oblodzone. Nie chciałem, żebyś jechała jego samochodem — wyjaśnił sztywno.

— Czyżbyś uważał, że jesteś jedynym kierowcą, który potrafi prowadzić samochód na oblodzonej nawierzchni?

— Nie — odrzekł spokojnie — ale nie wiem, jak Darid daje sobie radę na lodzie, a dopóki się tego nie dowiem, nie będzie cię woził.

— To jakaś piramidalna bzdura! — Czuła, że traci cierpliwość. — A Nina? Nie przeszkadza ci, że on wiezie do domu Ninę?

— Nina potrafi o siebie zadbać.

Bryony opadła na siedzenie i zacisnęła zęby.

— A ja nie potrafię?

— Nic nie wiesz o mężczyznach.

— Przecież rozmawialiśmy o oblodzonych jezdniach.

— Między innymi.

— Czyli wracamy do faktu, że od lat nie byłam na prawdziwej randce. Nie znaczy to jednak, że jestem głupia.

— I nie znaczy też, że jesteś doświadczona.

— Najwyraźniej nie zdobędę żadnego doświadczenia, dopóki mieszkamy w jednym mieście! — Spojrzała na niego ze złością, ale on tylko wzruszył ramionami.

— Nie wiem, dlaczego robisz cały ten szum. Umówiłaś się z mężczyzną. Spędziliście razem wieczór. A ręk przy okazji, dobrze się bawiłaś?

Już miała powiedzieć, że nie, ponieważ cały czas ukradkiem na niego zerkała, ale zdała sobie sprawę, że takim wyznaniem zdradziłaby swoje uczucia.

— Było w porządku — skłamała — ale nasze spotkanie zostało przerwane. Chciałam, żeby David odwiózł mnie do domu. — Chciała też, by ją pocałował, dzięki czemu mogłaby się przekonać, czy potrafi wyrzucić Jacka ze swoich myśli i marzeń.

— Tak bardzo chciałaś, żeby cię odwiózł? — Na chwilę zapadła pełna napięcia cisza. Jack zacisnął dłonie na kierownicy. — Dlaczego? — Jego głos zabrzmiał szorstko. — A może dopiero wtedy miała się zacząć właściwa randka? Zamierzałaś nadrobić stracony czas?

— A nawet jeśli, to co z tego! — zawołała oburzona. — To chyba nie jest twoja sprawa, prawda? Nie chcę, żebyś był moim dozorcą.

Dopiero gdy zatrzymał samochód i wyłączył silnik, zdała sobie sprawę, że dotarli do celu. Dom stał pograżony w ciemnościach, i nagle Bryony poczuła się samotna oraz przygnębiona. Może Lizzie ma rację? Cudownie byłoby wracać do siebie, wiedząc, że ktoś tam czeka, że ktoś w nocy ją obejmie. Niemal całe życie spędziła bez mężczyzny i nagle zapragnęła kogoś mieć. Kogoś, kogo by obchodziło, czy wróci do domu, czy nie. Na razie jednak poszukiwania odpowiedniego mężczyzny kończyły się niepowodzeniem.

— Dziękuję. Jack. Dziękuję zwłaszcza za to, że popsułeś mi wieczór. — Odpięła pas i sięgnęła po torebkę. — Zaprosiłabym cię na kawę, ale ponieważ uważasz, że to

oznacza zaproszenie do łóżka, oczywiście tego nie zrobię. No i pewnie już nie możesz się doczekać, kiedy wrócisz do Niny.

— Nina to tylko koleżanka.

— Nic mnie to nie obchodzi — skłamała. — Twoje życie uczuciowe to nie moja sprawa i odwrotnie; moje nie powinno obchodzić ciebie. Od czasu, kiedy Lizzie napisała list do świętego Mikołaja, minął już miesiąc, a jak dotąd żaden mężczyzna nawet mnie nie pocałował.

— Chciałabyś tego? — spytał głucho Jack i nie czekając na odpowiedź, położył rękę na jej karku, przyciągnął do siebie i bez namysłu pocałował ją w usta. Jego palce objęły jej szyję i unieruchomiły głowę tak, że nie mogła się odsunąć.

Zaskoczona położyła mu ręce na piersi, zamierzając go odepchnąć, ale jej zdradliwe dłonie rozpięły mu guzik przy koszuli i dotknęły nagiej piersi. Poczwała pod palcami ciepłą skórę i twarde mięśnie.

Jack całował ją teraz łagodniej, wodząc językiem po konturze jej warg, zachęcając ją, by rozchyliła usta. Nagle pocałunek stał się prawdziwy, taki, o jakim zawsze marzyła.

To musiała być magia. Bo co innego mogło ją doprowadzić do takiego podniecenia? Nie dbała już o nic, chciała tylko być jak najbliżej Jacka, wchłonać go w siebie, i jedynie niewygodne ułożenie foteli samochodowych ją przed tym powstrzymało. Pocałunek stawał się coraz gorętszy, całe jej ciało zdawało się płonąć. Jack tymczasem zachował całkowite panowanie nad sobą. Spokojnie wodził palcami po jej policzku i szyi, następnie zsunął rękę w stronę piersi, ale zatrzymał się tuż przed

celem. Bryony jęknęła z rozczarowania i wygięła się zachęcająco, ale jego ręka ani drgnęła. Całował ją nadal, aż poczuła, że nie panuje już nad żadnym ze zmysłów.

I nagle, gdy odniosła wrażenie, że eksploduje, Jack dotknął jej piersi, doprowadzając ją swą pieśczętą niemal do szaleństwa.

— Jack... — wyszeptała z ustami na jego wargach.

Gdy tylko wypowiedziała jego imię, uniósł głowę i spojrzał na nią, oddychając nierówno. Niespodziewane wypuścił ją z objęć i przetarł twarz. Najwyraźniej był równie zszokowany jak Bryony.

— Jack? — Spostrzegła, że zeszywniał, a jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

— Sama teraz widzisz...

Trudno było jej się skupić, wciąż dochodziła do siebie po jego pocałunku.

— Co widzę?

— Ze pocałunek doprowadza cię do utraty panowania. — Spojrzał na jej wargi, wciąż nabrzmiące i wilgotne, a potem niżej, na jej piersi wyraźnie rysujące się pod materiałem. Odwrócił głowę i zapatrzył się w ciemność. — To by się stało, gdybyś zaprosiła Davida Armstronga na kawę.

Bryony milczała. Miała wrażenie, że cały świat się zmienił. Wszystko wyglądało inaczej. Inaczej też wszystko pojmowała.

W jednej chwili zmienił się układ między nimi. Kiedy ich usta się zetknęły, wszystko stało się inne.

Najwyraźniej jednak według Jacka nic niezwykłego się nie wydarzyło. Zagryzła wargi i powtórzyła sobie w myślach, że to przecież ten sam Jack, którego rodzice się rozwiedli, kiedy miał osiem lat i który przysiągł sobie.

że nigdy się nie ożeni. Nie uznawał związków. Z kobietami łączył go głównie seks i niewiele więcej.

Chociaż o tym wcześniej wiedziała, przepełniło ją rozczarowanie, gdy zdała sobie sprawę, że ten pocałunek nic dla niego nie znaczył. Jack chciał jej tylko udowodnić, że ma rację. Dowiódł jej czegoś jeszcze. Przekonał ją, że umie wspaniale całować.

Wiedziała, że coś takiego nigdy by się nie stało, gdyby zaprosiła na kawę Davida. Być może nawet David by ją pocałował, ale na pewno nie poczułaby się z nim tak jak z Jackiem.

Sprawa przedstawia się beznadziejnie. Bryony postanowiła, że požądanie, jakie czuje do Jacka, nie może jej przeszkodzić w znalezieniu ojca dla Lizzie. To było tylko fizyczne zauroczenie, które szybko znika. Ona potrzebuje dobrego mężczyzny, godnego zaufania towarzysza życia i troskliwego ojca dla Lizzie. Nie dla niej szalone doznania seksualne. Przez nie może tylko popaść w depresję.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się do Jacka, dumna, że wypadło to dość naturalnie.

— Cóż, dziękuję ci za naukę — rzekła lekkim tonem i cmoknęła go w policzek. — Zdażyłam zapomnieć, jak to się robi. ale ty mi przypomniałeś. Teraz już wiem i podczas następnej randki z Davidem wykorzystam tę wiedzę.

Otworzyła drzwi, wysiadła z samochodu i nie oglądając się za siebie, poszła do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Do diabła.

Co on wyprawia?

Pocałował najlepszą przyjaciółkę.

Jack patrzył na odchodzącą Bryony i zastanawiał się, co nim najbardziej wstrząsnęło. To, że ją pocałował? A może to, że nie miał ochoty przestać?

Siedział w samochodzie i patrzył w mroźną ciemność, czując, że w jego życiu zmieniło się coś bardzo ważnego.

Skąd wzięła się ta nagła myśl, żeby ją pocałować? Przecież Blondi jest częścią rodziny. Była dla niego zawsze młodszą siostrą, tak samo jak dla Toma i Olivera. Aż do dzisiejszego wieczoru myślał o niej tylko w ten sposób. A może nie?

Może tylko tak sobie wmawiał?

Siedział nieruchomo, wpatrując się w ciemne okna domu. Nagle w jednym z nich zabłyśnięto światło. Zobaczył, jak Bryony wchodzi do swojego przytulnego salonu i zdejmuje płaszcz, odsłaniając wspaniałą czerwoną suknię i długie blond włosy. Przez lata nie oglądał jej w sukience, aż tu nagle zaczęła się pojawiać co tydzień w innej.

Zamknął oczy i odetchnął głęboko. Nadal czuł zniewalaający zapach jej włosów i skóry. Reakcja jego ciała była tak silna, że na samo wspomnienie zacisnął zęby i poruszył się niespokojnie. Kiedyś podświadomie założył, że

nigdy nie przekroczy rej niewidocznej granicy, a teraz to się stało, i nie można tego cofnąć.

Już nie widział w niej młodszej siostry ani najlepszej przyjaciółki. Widział kobietę. Prawdziwą kobietę z krwi i kości, do tego oszałamiająco piękną.

Nic nie mógł na to poradzić.

Lizzie chce mieć ojca. Kogoś silnego, żeby jej pomagał w huśtaniu się na huśtawce w ogrodzie. Kogoś, kto jej pozwoli oglądać telewizję przed wyjściem do szkoły i nie będzie zmuszał do jedzenia brukselki.

Z tym nie byłoby problemu. Sam nie lubił brukselki, więc wyrzucenie jej z domowego jadłospisu bardzo by go uszczęśliwiło. Bez trudu też huśtałby Lizzie na huśtawce, przytulał ją i rozśmieszał. Z takimi sprawami doskonale sobie radził. Problem sprawiał mu jedynie ostatni fragment listu dziewczynki.

„Ale najbardziej chcę, żeby ten tatuś przytulał moją mamusię i żeby został z nami na zawsze.”

Jack oparł się o zagłówek i ze świstem wypuścił powietrze z płuc. „Na zawsze* dla niego nie istnieje. Już miesiąc wydaje się niedorzecznie długi. Kiedy słyszał „na zawsze”, miał ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie.

Bryony o tym wie. Zna go lepiej niż ktokolwiek inny.

I pewnie dlatego przeżyła taki szok. kiedy ją pocałował. Co tu dużo gadać, on sam też był zaszokowany. Teraz zupełnie nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, a to było dla niego nowe doświadczenie. Jeśli chodzi o kobiety, miał dotąd jasność, czego chce. A chciał wszystkiego — pod warunkiem, że nie na zawsze.

A to oznacza, że nie ma Bryony absolutnie nic do zaferowania.

Włączył silnik i zacisnął ręce na kierownicy. Nie wol-

no mu patrzeć na Bryony jak na kobietę. To chyba nie takie trudne? W końcu dopiero niedawno zobaczył w niej piękną istotę pici przeciwnej. Nie będzie mu chyba trudno znów dostrzec w niej wyłącznie najlepszą przyjaciółkę.

Nie zmieni swojego postępowania. Będzie często do niej wpadał, przesiadywał w jej kuchni i oczywiście nadal będzie się widywał z kolegami.

Da sobie radę.

Po tym zdarzeniu praca z Jackiem stała się dla Bryony jeszcze trudniejsza. Kiedy wchodził do sali, natychmiast to wyczuwała, nawet jeśli stała odwrócona do niego plecami. Nie musiała go widzieć. Każda część jej ciała mówiła jej, że Jack jest blisko. Jeśli przedtem na jego widok czuła lekki dreszcz, jakby mrówki przebiegły jej po plecach, to teraz miała wrażenie, że biegają po niej nieprzebrane stada mrówek.

Niestety, dla niego najwyraźniej nic się nie zmieniło. Nadal opowiadał jej dowcipy o blondynkach i śmiał się z jej dowcipów o mężczyznach, kiedy z nogami na stole przesiadywał w jej kuchni i popijając piwo, patrzył, jak gotuje.

Mijał grudzień, a na horyzoncie nadal nie pojawiał się mężczyzna, który choćby w części spełniał wymagania, jakie Lizzie stawiała potencjalnemu tatusiowi.

Darid nie umówił się więcej z Bryony, więc pogodziła się z faktem, że pewnie zaczął widywać się z Niną.

— Nie jesteś zły z tego powodu? — spytała Jacka pewnego wieczoru, kiedy siedzieli przed kominkiem. Ona pisała kartki świąteczne, a on nieobecny wzrokiem patrzył w płomienie.

— Zły? Dlaczego?

— Z powodu Niny. — Wymówiła to imię tak lekko, jak tylko potrafiła. — Ktoś mi mówił, że spotyka się z Dandem.

— Tak? — Jack stłumił ziewnięcie i wyciągnął przed siebie nogi. — Życzę im szczęścia.

— Nie powinieneś ich wtedy wysyłać razem do domu. Dziwię się, że cię to nie denerwuje.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Daj spokój. Blondi. Przecież mnie znasz.

Spojrzała na niego z namysłem.

— Ty to wszystko ukartowałeś. prawda? — Kiedy zdała sobie z tego sprawę, pióro wypadło jej z ręki i potoczyło się na podłogę. — Chciałeś się jej pozbyć.

Jack nawet nie mrugnął okiem.

— Ułatwiłem jej znalezienie nowego partnera.

— Dlaczego? — Zdziwiona potrząsnęła głową. — To taka miła dziewczyna. I widać było, że szaleje za tobą.

— Tak było.

A więc pewnie dlatego z nią zerwał.

— Masz trzydzieści cztery lata — stwierdziła Biyony z westchnieniem. — Nie możesz całe życie uciekać.

Posłał jej łobuzerski uśmiech, na którego widok poczuła, że przebiega ją dreszcz.

— To się jeszcze zobaczy — odparował.

— Posłuchaj. — Odsunęła od siebie kartki. Mogą zaczekać. — Wiem, że rozwód rodziców był dla ciebie ciężkim przeżyciem, ale nie możesz...

— Zmień temat, Blondi. Nie chcę o tym rozmawiać. — Oczy rozbłyły mu groźnie. Zobaczyła w nich ostrzeżenie, by nie naruszała tabu.

— Ale przecież... — próbowała przekonywać.

— Co powiedziała blondynka na widok gniazdka w ścianie? — *zapytał* wesoło.

— Nie wiem — odrzekła znużonym głosem. Jack znów unika poważnej rozmowy.

— Biedna świnka, zamurowali ją. — Roześmiał się, a serce Bryony natychmiast zmiękło.

— Kiedy mężczyzna mówi do rzeczy? — spytała ze słodkim uśmiechem. — Kiedy otwiera szafę. A więc jaki błąd popełniła Nina?

— Szczerze? Powiedziała „kocham cię” — wyjaśnił krótko i wzdrygnął się zabawnie — W moim języku oznacza to „żegnaj”.

Bryony wzniosła oczy do nieba.

— Podobno najlepsza metoda, żeby pozbyć się mężczyzny, to powiedzieć mu: „kocham cię, chcę za ciebie wyjść za męża. a najbardziej bym chciała urodzić ci dziecko”. Ucieknie z wizgiem opon.

Jack roześmiał się.

— Tak to umieć więcej wygląda. Jak myślisz, dlaczego kupiłem ferrari?

Bryony westchnęła.

— Biedna Nina.

— Od początku znała reguły.

Co zapewne wcale nie sprawiło, że lżej przeżyła rozstanie, pomyślała Bryony. Z drugiej strony szybko zainteresowała się Daridem, więc chyba nie cierpiała zbyt mocno.

— Kiedyś wreszcie się ustatkujesz, Jack — zauważyła, zaklejając kopertę. — Będiesz wspaniałym ojcem.

— Bzdura.

— Masz cudowny kontakt z Lizzie.

— Tylko dlatego, że nie spadają na mnie żadne obo-

wiązki związane z jej wychowaniem, ale same przyjemności — wyjaśnił, lekko marszcząc czoło.

— Nieprawda. Lizzie wiele od ciebie oczekuje, a ty spełniasz jej wymagania. Na ilu szkolnych meczach byłeś w tym roku?

— Na wielu. Ale przecież ja to uwielbiam.

Roześmiała się.

— Właśnie. Świetnie się rozumiecie.

— Ale Lizzie chciałyby mieć ojca — powiedział Jack poważnie.

— Trudno się temu dziwić. — Wzruszyła ramionami.

— Nie zdaje sobie sprawy, że ojcowie nie są doskonali.

— Moim zdaniem zdaje sobie z tego sprawę. Mimo to i tak marzy o ojcu.

— A więc jak idą poszukiwania? Zjawili się jacyś odpowiedni kandydaci? Rozumiem, że David już wypadł z gry-

W tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że Bryony podniosła wzrok. Jednak minę miał całkiem obojętną.

— Nie idzie mi za dobrze — przyznała cicho, zaklejając kolejną kopertę. — Za trzy tygodnie święta, a następne spotkanie mam dopiero w sobotę.

Twarz Jacka nagle przybrała wrogi wyraz.

— W sobotę? A z kim?

Zaczerwieniła się lekko.

— Z Tobym.

— Jakim Tobym?

Bryony roześmiała się, widząc jego zmarszczone groźnie brwi.

— No. wiesz. Z naszym Tobym. Z zespołu pogotowia.

— Chyba żartujesz! — Patrzył na nią z oburzeniem.

— Toby to całkiem nieodpowiedni kandydat.

— Uspokój się. — Zebrała koperty ze stołu i ułożyła je w równy stos. — Jest bardzo sympatyczny i zawsze był miły dla Lizzie.

— Toby ma opinię straszego babiarza — lodowato oznajmił Jack.

— Tak samo jak ty — odrzekła lekceważąco.

— Ale ja nie chcę się z tobą umówić.

Właśnie. I bardzo tego żałowała. Jack podniósł się i stanął obok niej.

— Nie możesz się z nim spotkać.

— Dlaczego?

Zapadła długa cisza. Jakiś nerw na policzku Jacka pulsował niespokojnie.

— Ponieważ on nie jest dla ciebie odpowiedni.

Bryony westchnęła z rezygnacją.

— Masz tak złe zdanie o związkach między kobietami i mężczyznami, że nikt nie wydaje ci się odpowiedni. Ale zaufaj mi. nie wybiorę nikogo, kto skrzywdziłby Lizzie.

Jack odetchnął głęboko.

— Nie chcę też, żeby ktoś skrzywdził ciebie.

— Wiem. — Uśmiechnęła się do niego zadowolona, że choć trochę mu na niej zależy. — Nie musisz aż tak się tym przejmować. To mile. ale sama potrafię o siebie zadbać.

— Gdzie się wybieracie w sobotę?

Zastanowiło ją, że tak się dopytuje o jej plany, ale doszła do wniosku, że to zwykła ciekawość.

— Właściwie nie wiem. Toby robi z tego tajemnicę. — Uśmiechnęła się. — Czyż to nie romantyczne?

— Powiedziałbym raczej, że bardzo podejrzane — wymamrotał Jack. Chwycił płaszcz, kluczyki samochodowe i ruszył do drzwi. — Porozmawiam z nim.

Bryony westchnęła z rezygnacją.

— Nie jesteś moim aniołem stróżem.

— Jeśli chodzi o kobiety. Tobymu nie można ufać ani za grosz — warknął. — Chcę, żeby wiedział, że nad tobą czuwam.

— Pewnie wie. choćby dlatego, że pół życia spędzasz w moim domu — zauważyła Bryony pogodnie.

— Miejmy nadzieję. Nie pozwolę, żeby zabawiał się kosztem moich dziewczyn, twoim ani Lizzie.

Jego dziewczyn...

Bryony spojrzała na Jacka twardo. Dostrzegła w jego niebieskich oczach jakiś błysk i domyśliła się, że przypomniał mu się ich pocałunek.

— Nie jesteśmy twoimi dziewczynami, Jack.

Zawahał się. a jego twarz na chwilę przybrała dziwny wyraz. Potem wymamrotał coś pod nosem, gwałtownie otworzył drzwi i wyszedł.

Następnego dnia temperatura spadła jeszcze bardziej i na dodatek zaczął padać śnieg. Bryony. ubrana w ciepłą górską odzież, wysyłała kartki świąteczne, kiedy odezwał się jej pager. Nie musiała się martwić o Lizzie, ponieważ ta spędzała dzień u babci, więc od razu pojechała do bazy pogotowia, znajdującej się o pięć minut jazdy samochodem od jej domu.

— Dwie kobiety poszły w góry — poinformował ją Jack. zapinając kurtkę. — Jedna się skaleczyła, druga ma uraz kostki. — Wymienili spojrzenia. — Dlaczego kobiety tak często miewają urazy kostek?

— Nie wiem. ale przynajmniej mamy pretekst, żeby się wybrać w góry przy tej okropnej pogodzie — odrzekła wesoło, a Jack się uśmiechnął.

Zebrali się pozostali członkowie zespołu, wzięli sprzęt i wysłuchali instrukcji.

— Dokładnie me wiemy, gdzie one są — Sean wskazał jakiś punkt na mapie — ale właśnie tu zmierzały, kiedy zaczęło sypać, śnieg przykrył szlaki, więc pewnie zgubiły drogę.

Bryony spojrzała na mapę.

— W taką pogodę o to nietrudno — stwierdziła. — Mnie też się to zdarzyło.

Jack wywrócił oczami.

— Nie należy puszczać blondynki samej w góry — powiedział surowo, ale oczy lśniły mu wesoło.

— Kobieta przynajmniej zapyta o drogę, kiedy się zgubi. Mężczyzna me zrobi tego za żadne skarby.

— Mężczyzna nie pyta o drogę, bo nigdy jej nie gubi — odparował beztrudno, a Sean tylko westchnął.

— Będziecie się kłócić potem. — Znów wskazał coś na mapie. — Ben, pójdiesz z Tobym tym szlakiem i miejmy nadzieję, że znajdziemy te kobiety. Utrzymuj łączność. I uważajcie na siebie. Pogoda jest okropna.

— Mógłbym iść z Bryony... — zaproponował Toby.

— Ale nie pójdiesz — odparował bez namysłu Jack, spoglądając na niego twardo. — Ja z nią pójdę.

Toby przymruży*! oczy, po czym wzruszył ramionami.

— Jak chcesz.

Bryony wsiadła z Jackiem do samochodu terenowego. Dojechali do fanny znajdującej się nieopodal ścieżki wiodącej w góry. i tam zostawili pojazd. Jack zarzucił sobie plecak na ramiona i zaczekał, aż Bryony zrobi to samo.

— Pośpiesz się. Musimy się ruszyć, inaczej zamarniemy na śmierć.

Wyruszyli różnym krokiem.

— Za chwilę znów zaczniesz sypać — stwierdziła Bryony, spoglądając w niebo.

— Przecież idą święta. Powinno być dużo śniegu.

Bryony wzdygnęła się i zapięła pod szyją polarową kurtkę.

— Śnieg wygląda pięknie na kartach świątecznych, ale gorzej, kiedy w śnieżycy trzeba wędrować po górach. Dlaczego nie pozwoliłeś mi iść z Tobym?

— Zamiast cię pilnować, gapiłby się na twoje nogi i pewnie wpadłabyś w przepaść.

— Jack, przecież mam na sobie grube spodnie!

— Twoje nogi wyglądają seksownie choćby nawet okryte workiem.

Zatrzymała się jak wryta. Jack uważa, że jej nogi wyglądają seksownie? Nigdy jej czegoś takiego nie powiedział. Patrzyła na niego zdezorientowana, nie wiedząc, co o tym myśleć.

— Dlaczego się zatrzymałaś? Chcesz mnie podziwiać z oddali?

Roześmiała się. Nagle ogarnął ją radosny nastrój.

— Dlaczego mężczyzna jest jak horoskop? — Poprawiła plecak i zrównała się z Jackiem. — Ponieważ codziennie ci mówi, co masz robić, i zawsze się myli.

Uśmiechnął się, po czym ruszyli w drogę. Wkrótce zaczął sypać śnieg.

— Mam nadzieję, że te turystki znalazły jakieś schronienie — wymamrotał Jack. a Bryony ze stroskaną miną skinęła głową.

— Obyśmy tylko je znaleźli. Za kilka godzin zapadnie zmrok.

Warstwa śniegu pod stopami stawała się coraz grubsza.

— Pora zamocować raki i wyjąć czekany. Blondi — zdecydował Jack, zdejmując plecak.

Zatrzymali się na krótką chwilę, by odpowiednio przygotować się do dalszej drogi. Bryony szła za Jackiem, patrząc, jak pewnie stawia nogi, zostawiając w śniegu ostre ślady raków. Wydawało jej się, że idą już całe wieki, kiedy usłyszała gdzieś w górze wołanie.

— To chyba one — domyślił się Jack i przyśpieszył, trochę zmieniając kierunek marszu. — Sprawdźmy, a potem przez radio powiadomimy bazę.

Bryony odetchnęła z ulgą, kiedy za najbliższym zakrętem zobaczyli dwie przytulone do siebie postacie.

— Uważaj, jak stawiasz stopy — ostrzegł Jack, zerkając w prawo. — Zbocze tu jest bardzo strome, a dalej przepaść. Pamiętam, bo wspinałem się tutaj w lecie z twoimi braćmi. W drodze powrotnej użyjemy lin.

Gdy wreszcie dotarli do kobiet, jedna z nich wybuchnęła płaczem.

— Dzięki Bogu, że przyszlście...

Bryony opadła obok niej na kolana, a Jack od razu wyjął radio i podał ich pozycję.

— Wszystko będzie dobrze — pocieszała kobiety Bryony, obejmując jedną z nich ramieniem. — Jest pani ranna?

— Ja nie — odrzekła kobieta, szcękając z zimna zębami — ale moja siostra się pośliznęła, zraniła w kostkę i rozcięła nadgarstek. Chyba padając, trafiła na kamień. Tak bardzo krwawiła, że wyjęłam z plecaka dodatkowy sweter i zatamowałam mm krew.

— Bardzo dobrze. Właśnie tak należało zrobić. — Bryony zdjęła plecak. — Nazywani się Bryony, jestem lekarzem i członkiem górskiego pogotowia. Jak się pani nazywa?

— Proszę mi mówić Alison. — Kobieta dygotała coraz gwałtowniej. — A to jest moja siostra Pamela. Czuję się winna, że wyciągnęłam was w góry przy takiej okropnej pogodzie. Naraziłam wszystkich na niebezpieczeństwo.

— Niepotrzebnie robi pani sobie wyrzuty — odparła Bryony. — To nasza praca i bardzo ją lubimy. Mamy odpowiednie wyposażenie i stroje.

Śnieg padał coraz gęstszy. Bryony strąciła białe płatki z twarzy i ze zmarszczonymi brwiami spojrzała w niebo. Widoczność gwałtownie się pogarszała.

Kiedy zajęła się Pamela, podszedł do niej Jack.

— Reszta zespołu już tu idzie. — Przykucnął obok i uśmiechnął się do Alison. — Piękny dzień na spacer po górach.

Bryony tymczasem uspokajała Pamelę.

— Wszystko będzie dobrze. Sprawdzę, jakie odniosła pani obrażenia, a potem was stąd zabierzemy.

Zdjęła rękawiczki i ostrożnie rozwinęła nasiąknięty krwią sweter, by obejrzeć zraniony nadgarstek. Z odsłoniętej rany trysnęła krew, więc Bryony szybko znów ją ucisnęła.

— To arteria, Jack — oznajmiła cicho.

Natychmiast znalazł się przy niej, jego szerokie ramiona osłoniły ją przed wiatrem. Jego siła i pewność siebie dodawały jej otuchy.

— Okryłem Alison, więc zaraz poczuje się trochę lepiej. — Szybko obejrzał zraniony nadgarstek Pamelę, a następnie zabezpieczył ranę sterylnym opatrunkiem.

— Będzie dobrze — zapewni! z uśmiechem i podał Bryony bandaż. — Zaraz ciasno owiniemy pani rękę. I proszę trzymać ją w górze, dopóki nie dojedziemy do szpitala.

Pamela spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.
— Nie mogę iść. Boli mnie kostka.

— Proszę się o to nie martwić. Damy sobie radę. Moja towarzyszka jest bardzo silna, dlatego wszędzie ją ze sobą zabieram — zażartował, puszczając oko do Bryony.
— Teraz sprawdzę stan kostki. Boli?

Usta Pameli zsiniały z zimna.

— Strasznie boli.

— Zaraz dostanie pani trochę tlenu, żeby łatwiej było pani oddychać. — Sięgnął po plecak. — Proszę zrobić kilka powolnych wdechów. Świetnie... Doskonale. — Zerknął na Bryony. — Rozetnij but. Musimy sprawdzić, co się stało.

Bryony sprawnie przecięła sznurowadła i delikatnie zdjęła but. a potem skarpetkę ze stopy turystki.

— Bardzo spuchnięta — powiedziała cicho, a Pamela jęknęła boleśnie. — Czy po upadku mogła pani na niej stanąć?

Kobieta potrząsnęła głową.

— Poczulałam straszliwy ból. Od razu upadłam i właśnie wtedy przecięłam sobie nadgarstek.

— Co o tym sądzisz. Blondi? — spytał Jack.

— To chyba złamanie. Kiedy dotrzemy do szpitala, od razu zrobimy prześwietlenie.

— A więc teraz unieruchomimy staw. podamy analgetyk, okryjemy śpiworem i zaczekamy, aż reszta zespołu dotrze tu z noszami.

— Mam złamaną kostkę? — przeraziła się Pamela.

— Na to wygląda — odrzekł Jack, patrząc, jak Bryony wyjmuje konieczny sprzęt z plecaka. — Ale proszę się nie martwić. Zaraz okryjemy panią śpiworem ze specjalnego materiału, pod którym szybko się pani ogrzeje. Znacie

kawał o blondynce, która zamówiła pizzę na wynos? Kelner pyta, czy pokroić pizzę na sześć, czy na dwanaście kawałków. — Zręcznie pomógł Bryony założyć usztywnienie. — A blondynka na to: na sześć poproszę. Dwunastu nie dałabym rady zjeść.

— Proszę nie zwracać na niego uwagi. Pamela — poradziła Bryony z uśmiechem. — Nie wie, co to poprawność polityczna i aż dziw bierze, że go jeszcze nie aresztowali. Gdyby nie był potrzebny, żeby znieść panią na dół, osobiście zepchnęłabym go w przepaść.

Mimo bólu Pamela uśmiechnęła się.

— Prawdę mówiąc, rozśmieszył mnie — przyznała.

Bryony jęknęła z rozpaczą.

— Tylko niech mu pani tego nie mówi, bo przez całą drogę będzie opowiadał dowcipy o blondynkach.

Prowadzili żartobliwą rozmowę, dopóki nie zjawiła się reszta zespołu, wraz z bratem Bryony.

Jack wzniosł oczy do nieba.

— Jeszcze tylko położnika tu brakowało — stwierdził ironicznie. — Ciekaw jestem, kto odbiera porody, kiedy ty włóczysz się po górach?

Tom poprawił plecak.

— Poczekają, aż wrócę.

— Tak długo was nie było, że zdążyliśmy wszystko zrobić sann. Ominęła was najciekawsza część wyprawy. Zastanawiam się, czy naprawdę potrzebny nam taki duży zespół.

— Gdyby nas tu nie było, nie miałbyś kim rządzić — odparował Tom, wraz z innymi członkami zespołu przygotowując nosze. — Skontaktowaliśmy się z RAF-em, ale nie przyślą nam tu helikoptera ze względu na złe warunki pogodowe.

Jack omówił z Seanem najlepszą trasę przetransportowania obu kobiet do szpitala, a Bryony tymczasem zajmowała się Pamela. Wkrótce ramię została bezpiecznie ułożona na noszach. Jej siostra na tyle odzyskała siły, że była w stanie iść pieszo, z pomocą dwóch roślących ratowników, którzy przywiązali ją do siebie linami.

Bryony znów przymocowała raki do butów i wzięła czekan. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu, i jeden nieuważny ruch wystarczył, by zsunąć się ze stromego zbocza góry. Widoczność malała z każdą chwilą.

— Zwiążemy się linami, Blondi — powiedział Jack. Już miała mu odpowiedzieć, gdy poczuła, że traci grunt pod nogami.

Nie zdążyła nawet krzyknąć. Zaczęła się zsuwać po stoku w kierunku urwiska, które tak plastycznie opisał przed chwilą Jack.

Natychmiast ścisnęła mocniej czekan, starając się wbić go w śnieg. Po chwili zdołała się zatrzymać. Serce biło jej w piersi jak szalone. Z całych sił zaciskała dłonie na trzonku czekana, dzięki któremu nie zsuwała się niżej.

Usłyszała, jak Jack w panice woła ją po imieniu. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Nie chciała, by wpadł w panikę. Przecież nigdy mu się to nie zdarza. Zdała sobie sprawę, że znalazła się tuż nad przepaścią. Delikatnie poruszyła stopami, starając się wbić raki w twardszą powierzchnię śniegu.

— Trzymaj się, Bry! — zawołał Tom. — Jack już do ciebie idzie.

W jego głosie również słychać było wielki niepokój. Nic dziwnego. Od skraju urwiska dzieliło ją zaledwie niewiele ponad metr. I nadal nie była bezpieczna.

— Trzymaj się, Blondi! — krzyknął Jack.

Spojrzała w górę i zobaczyła, że schodzi do mej zabezpieczony liną.

— Myślisz, że się puszczę? — Głos jej trochę drżał. — Nie jestem taka głupia.

Zbliżył się na tyle, że widziała jego uśmiech.

— Mądra na pewno nie jesteś. Przecież masz blond włosy, zapomniałaś? Musisz być głupia. Wszyscy to wiedzą.

Próbowała się uśmiechnąć, ale poczuła, że czekanie zaczyna się obsuwać. Krzyknęła z przerażenia i mocniej wbiła raki w zbocze.

— Jack!

— Już cię trzymam, aniołku. — Nagle znalazł się tuż przy niej i całym ciałem przycisnął do stoku, jednocześnie przewiązując jej linę w talii. — Przez ciebie o mało wszyscy nie dostaliśmy zawału.

Twarz Jacka znalazła się tak blisko, że czuła na policzku jego ciepły oddech i szorstki zarost. Jeszcze nigdy tak się nie ucieszyła na czyjś widok.

Zerknęła w dół i pomyślała o Lizzie.

— O Boże. Jack — wyszeptała, a on natychmiast objął ją mocniej.

— Nic teraz nie mów — powiedział szorstko. — Trzymam cię mocno i me puszczę. — Krzyknął coś do Seana stojącego przy drugim końcu liny. — Zaraz nas wciągną, skarbie.

Wolno posuwała się w górę, pomagając sobie czekaniem i rakami. Cały czas otuchy dodawała jej świadomość, że Jack wspina się tuż za nią.

W końcu dotarli na szczyt.

— Dzięki za zapewnienie nam sporej dawki adrenaliny — rzekł Tom na powitanie.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odrzekła lekko, ale ze zdenerwowania dygotała tak mocno, że Jack objął ją i mocno tulił, dopóki się nie uspokoiła.

Nic do niej nie mówił, tylko trzymał ją w ramionach, jednocześnie omawiając z Tomem i Seanem dalszą trasę po tym zdradzieckim zboczach.

Bryony marzyła o tym, by ta chwila trwała wiecznie. Nigdzie na świecie nie byłoby jej lepiej. Zamknęła oczy i wdychała odurzający zapach Jacka.

Kiedy wypuścił ją z objęć, poczuła przejmujący żal.

— Dziękuję. Jack — powiedziała. Bała się, że za chwałę z jej oczu popłyną łzy. — Zrobiłabym dla ciebie to samo.

Puścił do niej oko, jak zwykle denerwująco pewny siebie.

— Ja bym nigdy nie stoczył się w przepaść, złotko.

Z oburzenia zaparło jej dech w piersiach.

— Ty zarozumiała... — Zdenerwowana nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

— O! Widzę, że już czujesz się lepiej. Przynajmniej odzyskałaś zdrowe rumieńce. Ruszajmy.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Jack specjalnie starał się ją zdenerwować. Na pewno zauważył, że jest bliska łez.

Roześmiała się niepewnie, kolejny raz podziwiając jego inteligencję.

Łatwiej było schodzić trudną trasą w dół. czując złość, a nie strach.

Po kilku godzinach wędrówki dotarli do ambulansu, który przetransportował obie turystki do szpitala.

W śnieżnej zamieci Jack odwiózł Bryony do domu.

— Jeśli pogoda się nie zmieni, będziemy mieli pełne ręce roboty — stwierdził, patrząc na nią badawczo.

— Nic mi nie jest — uspokoiła go.

Skinął głową.

— Na szczęście umiesz się obchodzić z czekanem. Dobrze się spisałaś. Oczywiście, jeśli zapomnimy o tym, że potknęłaś się i upadłaś.

— Wcale się nie potknęłam — zaprotestowała. — To góra się spode mnie wysunęła.

— Ja nie wpadłem samochodem na drzewo, panie władzo — przedrzeźniał ją Jack. — To drzewo nagle się na mnie rzuciło.

— Powiedz mi- co się czuje, kiedy się jest takim chodzącym ideałem? — zapytała uszczypliwie.

— Już się do tego przyzwyczailem — odrzekł z powagą. — Ale doskonale zdaję sobie sprawę, że to może być trudne dla otoczenia.

— Wierz mi, bardzo trudne — burknęła, zdejmując czapkę. — Któregoś dnia nie wytrzymam i po prostu cię zastrzelę.

— Mimo że ocaliłem cię przed upadkiem w przepaść? Jęknęła zrezygnowana.

— Nigdy me pozwóhsz mi o tym zapomnieć, prawda?

— Prawda. — Zatrzymał samochód przed jej domem.

— Zaprosisz mnie na jutrzejszą kolację?

W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

— Na jutro umówiłam się z Tobym — powiedziała przez ściśnięte gardło.

Oczy Jacka nagle się zwężyły.

— Ach. rzeczywiście. — Przez chwilę milczał, a potem uśmiechnął się beztrudnie. — No to zaprosisz mnie innym razem.

Nagle pożałowała, że umówiła się z kimś innym. Wołałaby spędzić ten wieczór w towarzystwie Jacka.

Przypomniała sobie jednak list córki do Mikołaja. Spędzanie wieczorów w towarzystwie Jacka byłoby zwykłą stratą czasu.

— Jutro idziemy z Lizzie wybrać choinkę — oznajmiła. Przecież przebywanie z nim za dnia to zupełnie co innego. — Wybierzesz się z nami? Lizzie by się ucieszyła.

Uśmiechnął się szeroko.

— A będę musiał się bawić w ślub?

— Pewnie tak, ale coraz lepiej ci to idzie, więc nie widzę problemu.

— Dobrze, pojedę z wami.

— W takim razie, dobranoc — pożegnała go, odpinając pasy. — Zobaczymy się jutro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Chcę najwyższą choinkę ze wszystkich! — Roześmiana Lizzie klasnęła w dłonie. Miała na sobie ciepłe różowe spodnie wsunięte w różowe buty, a na szyi szalik w jaskrawe pasy. Z przejścia niemal podskakiwała w miejscu. — Drzewko musi być duże, żeby się pod nim zmieścił mój prezent.

Bryony zagryzła wargi i z zakłopotaniem spojrzała na Jacka.

— Wiesz, skarbie — zaczęła niepewnie — wydaje mi się, że Mikołaj nie miał wystarczająco dużo czasu, żeby ci znaleźć tatusia. Zażyczyłaś sobie bardzo niezwykłego prezentu.

— Da sobie radę — odrzekła Lizzie beztrąsko, przytupując dla rozgrzewki. — Przecież byłam bardzo grzeczna. Sally ukradła mi na boisku rękawiczki, a ja nikomu nie powiedziałam.

— Ktoś ci ukradł rękawiczki? — spytał Jack, marszcząc brwi.

— Były nowe i bardzo jej się podobały.

— Nic się nie stało, Jack — uspokajała go Bryony. — Sama to wyjaśni.

— Powinnaś porozmawiać z jej nauczycielką.

— Nic się nie stało. — Bryony posłała Jackowi ostrzegawcze spojrzenie. — Wybierzmy drzewko, dobrze?

Jack uśmiechnął się z przymusem.

— Dobrze. — Wziął Lizzie za rękę. — Kupimy ci nowe rękawiczki, żabko. Jakie tylko zechcesz. Wybierzemy je razem.

Lizzie podbiegła do jednej z choinek i patrzyła na mą z zachwytem.

— Ta mi się podoba.

— Najwyższa choinka na całym placu — stwierdziła przerażona Bryony.

— Wiem. — Lizzie czule głaskała gałęzie. — Bardzo mi się podoba. Będziemy miały w domu prawdziwy las. I jak pięknie pachnie.

— Skarbie, nie zmieści się do naszego salonu. Może weźmiemy tamtą? — Bryony wskazała mniejsze drzewko.

— Nie. — Lizzie potrząsnęła głową. — Ta mi się podoba. Chcę, żeby była nasza.

Bryony przymknęła oczy.

— Lizzie... — zaczęła.

— Ta choinka jest wspaniała, a czubek można przyciąć — oznajmił Jack spokojnie.

Bryony uniosła brwi ze zdziwienia.

— Musiałbyś odciąć chyba z półtora metra.

— Jeśli będzie trzeba... — Przykucnął przy Lizzie. — Skoro panience się podoba, panienska dostanie właśnie tę choinkę.

— Musisz się nauczyć jej odmawiać.

— Po co? — Wziął Lizzie na rękę. — Naprawdę chcesz to drzewko?

Dziewczynka objęła go za szyję.

— Dostanę je?

— Oczywiście. — Nie wypuszczając jej z objęć, sięgnął do kieszeni po portfel. — Masz, Blondi. Wesołych świąt.

— Ja zapłacę — zaprotestowała Bryony.

— To prezent ode mnie. Proszę, weź.

Zawahała się, ale po chwili rzekła z uśmiechem:

— Dobrze, dziękuję.

Lizzie objęła go i spojrzała mu poważnie w oczy.

— Jack...

— Słucham? Tylko nu nie mów, że znowu chcesz się bawić w ślub!

— Nie. — Dotknęła jego policzka. — Poprosiłam Świętego Mikołaja, żeby pod chomkę przyniósł mi tatusia.

Jack znieruchomiał.

— Wiem o tym.

— Teraz żałuję, że nie poprosiłam go, żebyś to ty był moim tamsiem — powiedziała smutnym głosem. — Kocham cię, Jack. Nikt inny nie umie tak fajnie bawić się w ślub.

Bryony ze wzruszenia poczuła dławienie w gardle.

— Lizzie... — Głos Jacka brzmiał dziwnie ochryple.

— Nie mogę zostać twoim tatusiem, skarbie. Ale zawsze będę przy tobie.

— Dlaczego nie możesz? Dobrze wiem, że mamusia cię kocha.

Bryony zamknęła oczy. policzki zaczęły ją piec. Jack roześmiał się jakoś dziwnie.

— Ja też kocham twoją mamusię, ale nie tak, jak kochają się tatuś z mamusią.

Bryony miała ochotę zapaść się w zaspę śnieżną. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

— Ale Mikołaj na pewno przyniesie ci jakiś wspaniały prezent — zapewniła córkę energicznie. — Już ja to wiem. Kupmy tę chomkę, bo zaraz ktoś nam ją sprzątnie.

— No to się pośpieszmy! — zawołała wystraszona Lizzie.

Bryony poszła zapłacić, a Jack otworzył! bagażnik samochodu terenowego, którym tu przyjechali, i z trudem umieścił w nim choinkę.

— Strasznie dużo igieł opadło — wymamrotał do Bryony. kiedy już siedzieli w środku. — Nie wiem, czy do domu nie dowieziemy gołych gałęzi.

Bryony zerknęła na niego, zastanawiając się, czy zauważył, że nazwał jej skromne domostwo „domem”.

— A ty kupisz sobie choinkę? — zapytała.

— Po co? — odrzekł, potrząsając głową. Spojrzał na Lizzie. która siedziała ze słuchawkami na uszach i nie zwracała na nich uwagi. — A w ogóle to święta są dla dzieci.

— Odwiedzisz nas w święta u mojej mamy?

— Jeszcze nie wiem. Sean chce spędzić te dni z Ally i dziećmi, więc pewnie wezmę dyżur.

— Co roku do nas przychodzisz. Lizzie będzie rozczarowana. My zresztą też. Wpadnij choć na chwilę.

— Może. — Obojętnie wzruszył ramionami.

— Wiem. że nie lubisz tych świątecznych dni.

Zapadła długa cisza. Jack nie odrywał oczu od drogi.

— Gwiazdka to święta rodzinne, Blondi. A ja nie mam rodziny.

Bryony przygryzła wargi.

— Miałeś ostatnio jakieś wiadomości od matki?

— Pół roku temu przysłała mi kartkę. Jest w Brazylii, ze swoim najnowszym kochankiem.

Milczała przez chwilę. Spojrzał na nią z ironicznym błyskiem w oku.

— Nie musisz mi współczuć. Mam trzydzieści cztery lata i nie oczekuję, że mama przyjedzie do domu i będziemy się bawić w szczęśliwą rodzinę. Ta zabawa w naszym

domu nigdy się me udawała. Kiedy inni odpakowywali prezenty pod choinką, moi rodzice trzymali się jak najdalej od siebie, pielęgnując wzajemne urazy.

— Jack...

— Jeszcze gorzej było. jak zaczynali się kłócić. Uciekałem wtedy do ogrodu, żeby nie słyszeć ich wrzasków. Raz nie wróciłem przez całą noc i nikt tego nie zauważył.

Jego wspomnienia były tak różne od jej świątecznych obrazów z dzieciństwa...

— Często przychodziłeś do nas.

— No! — Uśmiechnął się do mej dziwnie. — Byliście taką doskonałą rodziną.

Bryony nagle przyszło do głowy, że być może te wizyty wcale me były dla niego takie przyjemne.

— Czy trudno ci było znieść te odwiedziny?

— Wcale nie — zapewnił. — Dzięki tobie, Blondi. Zawsze witałaś mnie tak. jakbym był samym Świętym Mikołajem.

Przypominała sobie, jak stała z nosem przyklejonym do szyby, wypatrując jego nadejścia. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże mu, jakie dostała prezenty.

— Byłaś taka jak Lizzie. — Głos mu złagodniał. — Pamiętam, jak dostałaś na Gwiazdkę strój baletowy. Nie chciałaś go zdjąć i w końcu lepiłaś bałwana w różowej spódniczce z tiulu.

— Pamiętam tylko, że w końcu podarłam tę spódniczkę, wchodząc na dizewo. — Roześmiała się. — Zawsze chciałam dotrzymać kroku braciom. — Wiedziona nagłym impulsem, położyła mu dłoń na udzie. — Odwiedz nas w święta, dobrze?

Uśmiechnął się do mej łobuzersko, a ona jak zwykle poczuła, że z wrażenia brakuje jej tchu.

— Najpierw musisz zobaczyć, co Mikołaj przyniesie Lizzie — powiedział cicho, skręcając w drogę prowadzącą do jej domu. — Być może wcale nie będę mile widziany.

Bryony westchnęła z rezygnacją. Przypomniała sobie, że problem świątecznego prezentu dla Lizzie pozostaje nierozwiązany. Próbowwała się pocieszać myślą, że na pewno znajdzie jakiś inny prezent, który zrekompensuje Lizzie zawód.

Zatrzymali się pod drzwiami. Jack zerknął na tyl samochodu.

— Nie mogę wprost uwierzyć, że wybrałaś taką wielką choinkę.

Lizzie tymczasem zdjęła słuchawki z uszu i zachichotała.

— To nie mama wybrała to drzewko, tylko ty, wujku.

— Ja? — Z przerażoną miną wyskoczył z samochodu.

— Ja to wybrałem?

Lizzie wybuchnęła śmiechem.

— Właśnie!

— W takim razie musimy wnieść je do domu.

śmiejąc się i żartując, wnieśli choinkę do salonu.

— Ma krzywy czubek — stwierdziła Bryony, przyjrawszy się krytycznie drzewku.

— Jest doskonała! — Lizzie aż jęknęła z zachwytem, a Jack kiwnął głową.

Bryony z rezygnacją przewróciła oczami.

— No dobrze. Skoro już tu jest, to ją ubierzmy.

Resztę popołudnia spędzili, przystrajając drzewko lampkami i bombkami. Potem Jack wyszedł do ogrodu, skąd przyniósł kilka gałązek ostrokrzewu i udekorował nimi kominek.

Bryony podała świąteczne babeczki z bakaliami, więc

usiedli na dywanie, rozkoszując się ich smakiem i podziwiając pięknie ubraną choinkę.

— Czuję już świąteczny nastrój — stwierdziła z uśmiechem.

— To dzięki tej choince. Gdyby była mniejsza, nie byłoby w domu takiej świątecznej atmosfery — oświadczył Jack.

Jednak Bryony wiedziała, że jej wyjątkowy nastrój wywołało coś innego. Patrzyła, jak Lizzie i Jack spierają się o ostatnią babeczkę i odniosła wrażenie, że widzi prawdziwą rodzinę. A przecież nie są rodziną. Jack nie raz podkreślał, że rodziny nigdy nie założy. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że czy tego chciał, czy nie, odgrywał wielką rolę w jej życiu. Inie wyobrażała sobie, by to się kiedyś mogło zmienić.

Nagle zapragnęła być sama.

— Muszę się przygotować — oświadczyła, wstając. — Toby przyjedzie po mnie o siódmej.

Oczekrwała, że Jackjakoś zareaguje na tę wiadomość. W końcu, kiedy poprzednio z kimś się umawiała, jego reakcja była. oględnie mówiąc, mało entuzjastyczna. Tym razem tylko się uśmiechnął i nawet nie przerwał zabawy z Lizzie.

Sama nie rozumiała dlaczego, ale poczuła się tak, jakby uszło z niej powietrze. Wzięła długą kąpiel, cały czas sobie powtarzając, że spędzi z Tobym bardzo udany wieczór.

Postanowiła znów włożyć czarną sukienkę. Oczywiście nie miało to nic wspólnego z faktem, że Jack pochwalił jej nogi. Sukienka była ładna, a Toby chciał ją zabrać do jakiejś eleganckiej restauracji.

Zrobiła staranny makijaż i upięła włosy tak, żeby

fryzura pasowała do sukni. Zadowolona z efektu zeszła do kuchni, gdzie Jack właśnie podał Lizzie kolację, a teraz bawił się z nią w grę pod nazwą „zgadnij, jakim jestem zwierzęciem”.

— Tygrys! Teraz jesteś tygrysem! — wołała Lizzie, patrząc, jak Jack krąży wokół niej, porykując groźnie. — Muszę zjeść brukselkę? Nie znoszę brukselki. Dasz mi w zamian groszek?

— Nigdy nie kłóć się z tygrysem — odparł surowo, nakładając jej dwie małe główki brukselki na talerz. — Zjedz. Brukselka jest bardzo zdrowa.

Lizzie ponuro spojrzała na talerz.

— Nienawidzę zdrowych rzeczy.

— Dostałaś tylko dwie brukselki — zauważyła łagodnie Bryony, sięgając po kubki. Kiedy znów spojrzała na córkę, brukselki na talerzu już nie było, a Lizzi i Jack unikali jej wzroku. Oparła ręce na biodrach. — A więc to tak... Co się stało z brukselką?

Lizzie zakryła usta i parsknęła śmiechem, a Jack zrobił minę niewiniątka.

— Nie wiesz, że tygrysy lubią brukselkę? — zapytał.

— Gdyby Jack został moim tatą, nigdy nie musiałabym jeść brukselki — rozmarzyła się dziewczynka.

Jack przeczesał palcami jej ciemną czuprynę.

— Lizzie, aniołku, musimy o tym porozmawiać.

Zanim jednak zdążył coś powiedzieć, zadzwonił telefon. Bryony spodziewała się, że to jej matka chce ustalić szczegóły wieczornej opieki nad Lizzie. Tymczasem usłyszała głos Toby ego.

Kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę, długo milczała.

— Co się stało? — Jack karmił Lizzie ostatnimi kęsami paluszków* rybnych. — Czyżby miał się spóźnić?

— W ogóle nie przyjdzie — oznajmiła Bryony. Zauważyła, że Jack wcale się nie zdziwił, tylko dalej spokojnie karmił dziewczynkę. — Ona potrafi jeść sama — zauważyła z przyganą w głosie.

— Wiem. ale bawimy się w zoo i teraz ja karmię tygrysa. A więc dlaczego odwołał randkę?

— Ponieważ Sean wysłał go do Penrith po odbiór jakiegoś sprzętu dla pogotowia górskiego. Załatwienie formalności trwa całe wieki i Toby utknął tam na dobre. — Zmarszczyła brwi. — Dlaczego nie powiedział Seanowi, że ma zajęty wieczór?

Podejrzliwie przyjrzała się Jackowi, przypominając sobie jego dziwne zachowanie względem Toby ego podczas ostatniej wyprawy ratowniczej. Czyżby to on tak wszystko zaaranżował, by nie mogli się spotkać? Od początku nie podobało mu się, że zaczęła szukać ojca dla Lizzie. Jeśli kogoś znajdzie, ich stosunki będą musiały się zmienić. Nie będzie mógł wpadać do niej o dowolnej porze, do czego był od lat przyzwyczajony.

Z westchnieniem spojrzała na siebie.

— Wystroiłam się. a nie mam dokąd pójść — stwierdziła lekkim tonem. — Chyba muszę się przebrać.

— Dlaczego? — Jack wstał i spojrzał na nią tak, że poczuła ciepło na policzkach.

— Taka kreacja nie pasuje do prostej domowej kolacji.

— A kto tu mówi! o prostej domowej kolacji? — Podszedł bliżej. — Zadzwoń do mamy i odwołaj jej dyżur przy Lizzie.

— Odwołać? — Jack stał teraz tak blisko, że ledwie mogła oddychać z wrażenia.

— Tak. — Ujął ją pod brodę i zmusił, by na niego spojrzała. — Ja przygotuję kolację, a ty ją zjesz w tej

sukni. Nie potrzebujemy nikogo do opieki nad dzieckiem.

Serce jej bilo jak szalone, całe ciało pulsowało.

— Ale przecież ty nie znosisz tej sukienki...

— Nigdy tak nie mówiłem.

Ich oczy się spotkały, i Biyony mogła teraz myśleć tylko o tym, jak ich usta kiedyś się połączyły.

Chciała znów go pocałować.

— Tak dziwnie wyglądacie. — Lizzie patrzyła na nich zaciekawiona. — Chcecie się całować?

Biyony krzyknęła cicho i zaczerwieniona cofnęła się o krok. Zapomniała, że Lizzie nadal siedzi przy stole.

— Nie, nie — mruknęła szybko. — Wcale nie chcemy się całować.

— Ale mnie to w ogóle nie przeszkadza — łaskawie oświadczyła dziewczynka. Wstała od stołu i zniosła talerze do zmywarki. — Sally mówi, że to obrzydliwe, kiedy rodzice tak robią, ale mnie się wydaje, że to by było fajnie.

— Lizzie, nie będziemy się całować — wymamrotała Biyony. Nie śmiała podnieść wzroku na Jacka, choć czuła, że on na nią patrzy.

— Wiesz, Blondi. że bardzo szybko się rumienisz? — zapytał cicho, a Lizzie klasnęła w dłonie.

— Mama robi się taka czerwona tylko przy tobie. wujku.

Biyony doszła do wniosku, że rozmowa posunęła się zbyt daleko. Zerknęła na zegarek.

— Lizzie, pora spać — powiedziała szybko. — Chcesz, żeby Jack poczytał ci na dobranoc?

— Jeśli nie będzie opuszczał stron.

Biyony zdecydowała się jednak spojrzeć na Jacka.

— Zgadzasz się na to, czy musisz już iść?

— To zależy.

— Od czego?

— Od tego, co mi ugotujesz na kolację — odpowiedział, puszczając do mej oko.

— Może poszedłbyś do siebie i sam coś ugotował?

— Dlaczego miałbym to robić, skoro ty mnie tak dobrze obsługujesz? — Uśmiechnął się i podniósł rękę. — Tylko żartowałem. A poza tym, ja dzisiaj przygotuję coś dla ciebie.

— Ty dla mnie? — Nie wierzyła własnym uszom.

Jack nigdy nie gotował. Siedział przy stole i patrzył, jak pracowała. A ona to lubiła. Gotowanie ją odprężało, a ich wieczorne pogawędki sprawiały jej przyjemność.

— Ja ugotuję ci coś godnego smakosza. Tym razem zadziwię cię, Blondi.

— A skąd weźmiesz składniki na ten posiłek?

Posadził sobie Lizzie na plecach.

— Kupiłem kilka rzeczy na wypadek, gdybym był głodny, jak wrócę do domu.

— Przecież ty nawet nie wiesz, gdzie jest supermarket — odrzekła zaczepnie. — A może w końcu jednak zapytałeś o drogę?

— Nie było takiej potrzeby. — Napiął mięśnie i wyprężył tors. — Mężczyzna jest z natury myśliwym.

— Poszedłeś do supermarketu z łukiem czy z dzidą? — zapytała, lecz on wraz z Lizzie opuścił kuchnię.

Bryony zdała sobie sprawę, że właściwie nie odpowiedział na jej pytanie. Skąd się w jego bagażniku wzięły produkty do przygotowania kolacji? Dlaczego teraz nie chciał, żeby się przebrała, a poprzednim razem okrywał ją płaszczem?

Usiadła na najbliższym krześle i zastanawiała się, czy Jack zdaje sobie sprawę, że zachowuje się jak zazdrosny samiec. Pewnie nie był tego świadom. Sama dopiero przed chwilą to zauważyła.

Ale do zazdrości konieczne jest uczucie, a przecież Jack nic do niej nie czuje. Nic takiego, co tłumaczyłoby jego zazdrość. A może jest inaczej?

Siedziała w ciszy, rozważając wszystko, co się zdarzyło od czasu, kiedy w pubie oznajmiła, że zamierza zacząć się umawiać. Jack starał się popsuć każdą jej randkę.

Czy robił to ze względu na Lizzie? A może nie potrafił znieść widoku Bryony u boku innego mężczyzny?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tydzień przed świętami Jack, Bryony i Sean siedzieli w pokoju lekarskim, omawiając szczegóły gwiazdkowego przyjęcia dla zespołu pogotowia górskiego, kiedy drzwi się otworzyła i wpadła wyraźnie czymś poruszona Nicky.

— Właśnie dostałam wiadomość z dyspozytorni. Ellie miała wypadek samochodowy. Wpadła do rowu! — mówiła zdyszana.

— Nasza Ellie? — Jack z zatroskaną miną zerwał się na nogi. — Jest w ósmym miesiącu ciąży. Coś jej się stało?

— Nie znam szczegółów. — Nicky potrząsnęła głową. — Ale trzeba było rozciąć samochód, żeby ją uwolnić.

Bryony już stała przy drzwiach.

— Przez całą ciążę źle się czuła — zauważył Sean, który był zaprzyjaźniony z Ellie i jej mężem Benem — dlatego zrezygnowała z pracy. Czy ktoś dzwonił do Bena?

Ben MacAllister był konsultantem na oddziale nagłych wypadków, a Ellie przed zajściem w ciążę pracowała tu jako pielęgniarka.

— Wyjechał na kurs doraźnej pomocy — przypomniał mu Jack. a Sean zaklął pod nosem.

— Niech ktoś się z nim skontaktuje — polecił.

Rozległo się wycie syreny ambulansu.

— Zawiadom Toma — Jack zwrócił się Bryony. — Nie

wiem, czy dziecko jest zagrożone, ale nie będziemy ryzykować. Chcę, żeby był tu twój brat.

Bryony wypełniła jego polecenie, a porem pobiegła do sali reanimacyjnej, gdzie wniesiono Ellie. Jack i Sean już ją badali.

— Czy Tom tu przyjdzie? — zapytał Jack.

— Właśnie operuje. Zjawi się, jak tylko będzie mógł.

Jack skinął głową, dotknął ramienia Ellie i na chwilę zdjął jej maskę tlenową.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił ją łagodnym tonem. — Rana na głowie jest powierzchowna. Jak się czujesz?

— Martwię się o dziecko — odpowiedziała słabym głosem. — Czy ktoś zawiadomił Bena?

— Jest już w drodze — odrzekła szybko Nicky.

Ellie jęknęła i przymknęła oczy.

— Będzie się martwił... Może nie trzeba było do niego dzwonić?

— Na pewno wolał się dowiedzieć — uspokajał Sean. Widząc przyjaciółkę na noszach, aż zbladł z przejęcia. — Jak to się stało, że wpadłaś do rowu?

Ellie uśmiechnęła się.

— Chciałam wyminąć owcę — powiedziała ochrypłym głosem, a Sean wzniósł oczy do góry.

— No tak. To do ciebie podobne — stwierdził szorstko. Zwrócił się do Jacka: — Przekazuję ci pacjentkę.

Bryony wiedziała, że zrobił tak, ponieważ jako bliski przyjaciel Ellie mógł mieć trudności z zachowaniem zimnej krwi. Jack spokojnie zajął się ranną.

— Ja krwawię — rzekła niespokojnie Ellie. — Czuję to. O Boże. Nie chcę stracić dziecka. — Znów przymknęła oczy.

— Nie stracisz dziecka — zapewnił ją Jack. wzrokiem dając Bryony znak, żeby znów zadzwoniła do brata.

Zrobiła to i jeszcze raz wyjaśniła powagę sytuacji. Kiedy znowu podeszła do Jacka, ten pewnym głosem wymienił listę badań, jakie natychmiast należy przeprowadzić. Potem delikatnie i starannie ją zbadał. Tymczasem do sali dostarczono przenośny ultrasonograf i można było sprawdzić stan płodu.

— Z dzieckiem wszystko w porządku — uspokoił Ellie. — Serce bije, a przed chwilą twój synek wymierzył mi całkiem solidnego kopa. Na razie nic nie musimy robić.

Ellie uśmiechnęła się słabo. W tej samej chwili do sali wszedł Tom.

— Przepraszam, ale właśnie robiłem dość skomplikowane cesarskie cięcie — wyjaśnił.

Jack krótko naświetlił mu sytuację. Tym razem rozmawiali bardzo poważnie, bez zwykłych żartów i zaczeppek. Potem Tom umył ręce i podszedł do rannej.

— Cześć, Ellie — przywitał ją. — Sprawdzę, jak się miewa twój malec.

Kiedy zdjął z jej twarzy maskę tlenowca, zobaczył, że kobieta jest bardzo wystraszona.

— Chcę, żebyś pomógł mu się urodzić — powiedziała z wysiłkiem. — Proszę. Mam złe przeczucia.

Tom uściśnął jej ramię.

— Zaufaj mi. Nie pozwolę ci stracić dziecka.

Po zbadaniu Ellie spojrzał poważnie na Jacka.

— Krwawienie jest dość obfite. Trzeba będzie zrobić cesarskie. Co powinienem wiedzieć o stanie pacjentki? Czy stwierdzono urazy głowy?

— Znalazłem drobne skaleczenie, ale cały czas zacho-

wala przytomność. Kręgosłup nie jest uszkodzony — oznajmił Jack.

— Czy Ben przyjedzie? — Tom przesunął dłonią po karku.

— Zrób to — ponagliła go Elhe. Twarz miała coraz bledszą. — Nie czekaj na Bena. Sean. zostaniesz przy mnie?

— Nie pozbędziesz się mnie nawet siłą — zapewnił Sean. podchodząc bliżej i biorąc ją za rękę. — Teraz pojedziemy na położniczy.

Potem wszystko przebiegło szybko i sprawnie. Sean i Jack przetransportowali Elhe na oddział, a tymczasem Tom zebrał zespół chirurgów i pobiegł do sali operacyjnej.

Bryony i Nicky uporządkowały salę reanimacyjną. Rozmawiały cicho, ciesząc się krótką chwilą spokoju. Po jakimś czasie zjawił się Ben.

— Gdzie ona jest? — zapytał bez zbędnych wstępów.

— W operacyjnej na położniczym. — odrzekła szybko Bryony. — Tom robi jej cesarskie cięcie.

Ben odwrócił się i zniknął, a Nicky westchnęła

— Oto zakochany mężczyzna. Pamiętam, jak tych dwoje się poznało. Elhe zagięła na niego parol, a teraz on świata poza nią nie widzi.

— Wszystko będzie dobrze — stwierdziła Bryony. — Tom to doskonały położnik.

Miała całkowite zaufanie do brata. Nie wierzyła, by coś złego mogło się stać Ellie lub jej dziecku.

— Za zdrowie małego MacAlhstera. jeszcze bez imienia, oraz za Jacka i Toma! — Sean uniósł szklaneczkę. — I za dobrze wykonaną robotę!

Cały zespół pogotowia zebrał się w pubie, by uczcić bezpieczne przyjście na świat syna Bena i Ellie. Choć dziecko urodziło się ponad trzy tygodnie przed terminem, jego stan był bardzo dobry.

Tom z poważną miną otoczył Jacka ramieniem.

— Po prostu trzeba wiedzieć, jak to robić. Zgadzasz się?

— Jak najbardziej. — Jack przybrał minę mędrca. — Z rym się człowiek rodzi.

Tom sięgnął po piwo.

— Lata praktyki też robią swoje.

— I doskonały instynkt

Bryony błagalnie popatrzyła w sufit.

— Oraz wygórowane mniemanie o sobie — dodała, zerkając na Seana. — Nie zamawiaj wody sodowej na przyjęcie świąteczne. Tym dwóm już i tak uderzyła do głowy.

Wszyscy się roześmiali i rozmowa zeszła na coroczne spotkanie przedświąteczne zespołu.

Bryony usiadła na stołku przy barze.

— To jutro, prawda?

— Tak, tylko zmieniło się miejsce — ogłosił Sean.

Usłyszawszy, gdzie przeniesiono zabawę, Bryony zmarszczyła brwi.

— Ależ to bardzo daleko!

— Tak, po drugiej stronie doliny — zgodził się Sean. — I jeśli pogoda się nie poprawi, trzeba będzie jechać samochodami terenowymi, żeby nie utknąć w zaspach.

— To by było straszne. Wyobraźcie sobie te tytuły w gazetach. „Cały zespół pogotowia górskiego wyratowany ze śnieżnej pułapki” — powiedział Tom.

— To by było straszne. — Jack wzdrygnął się, udając śmiertelne przerażenie. — Nie możemy do tego dopuścić.

— Takie publiczne upokorzenie zupełnie zniszczyłoby jego poczucie wartości — stwierdziła z powagą Biyony. — Już nigdy nie doszedłby do siebie.

Sean dokończył piwo.

— Spotkamy się w bazie o siódmej i wyruszymy razem.

— Bryony i ja o siódmej dopiero kończymy dyżur — oznajmił Jack i sięgnął po kurtkę. — Przywiozę ją tutaj ferrari.

Sean spojrział na niego zdziwiony.

— W takich warunkach będziesz jechał ferrari? Wylądujesz w rowie.

— Nic podobnego. — Jack zrobił obrażoną minę. — Jestem doskonałym kierowcą.

— Na dodatek skromnym—dorzuciła pogodnie Biyony.

Dzień pracy dobiegł końca, więc Biyony w łazience przebrała się w sukienkę. O kąpieli w pianie i wizycie u fryzjera mogła tylko pomarzyć. Na przygotowanie do wyjścia miała niecałe pięć minut. Już słyszała, że Jack wzywa ją klaksonem samochodu.

— Jestem, jestem. — Usiadła obok niego, chaotycznie wpychając do torby ubranie robocze. — Nie zdążyłam nawet ułożyć włosów.

— Zrobisz to po drodze. Już jesteśmy spóźnieni. — Włączył silnik i ruszyli.

Biyony długo szukała czegoś w torbie, w końcu jęknęła zrezygnowana:

— Chyba zostawałam je w pracy.

— Co takiego?

— Nowe spinki.

Jack zerknął na nią spod oka.

— Świetnie wyglądasz. Nie przejmuj się spinkami.
Nerwowo przygładziła włosy.

— Wyglądam tak, jakbym przed chwilą wstała z łóżka.

— Właśnie. — Uśmiechnął się łobuzersko. — Przecież powiedziałem, że świetnie.

Czyżby on z nią flirtował? Coś w ich stosunkach się zmieniło, ale nie potrafiła tego nazwać. Od czasu tego niewiarygodnego pocałunku Jack nie tknął jej nawet palcem, ale między nimi było już jakoś inaczej. W inny sposób na nią patrzył.

— Nie wiem. dlaczego Sean zarezerwował lokal tak daleko — burknął Jack. skręcając w wąską drogę. — Na pewno znalazłoby się coś bliżej.

— Z początku chciał nam podać tylko współrzędne tego miejsca i zobaczyć, kto dotrze do celu. Dobrze, że udało nam się go odwieść od tego pomysłu. Mam sprawdzić drogę na mapie?

— Wiem. gdzie jadę.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Już tam kiedyś byłeś?

— Nie. — Puścił do mej oko. — Ale mężczyźni instynktownie wyczuwają właściwy kierunek.

— Czyli zaraz się zgubimy — odrzekła ironicznie.

Nie zgubili się jednak i po niespełna dwudziestu minutach Jack zaparkował ferrari przed restauracją.

— Jestem doskonały.

— Raczej nie do wytrzymania — burknęła. Otworzyła drzwi samochodu i zadrżała z zimna. — Co za mróz! I pewnie znów zaczniesz sypać.

— Mężczyźni nie zwracają uwagi na chłód. — Zamknął samochód i wyciągnął do niej rękę. — Nie przewróć się, Blondi.

— Może trudno ci w to uwierzyć, ale potrafię chodzić — odparła cierpko. — Ostatnio dużo ćwiczyłam i teraz całkiem nieźle mi to idzie.

Ignorując jego wyciągniętą dłoń, ruszyła oblodzoną alejką do restauracji. Bała się, że gdyby wzięła go za rękę, już nigdy nie chciałaby jej puścić.

W środku powitała ich reszta zespołu. Wszyscy spędzili cudowny wieczór, śmiejąc się, jedząc i pijąc. W pewnej chwili Jack spojrzał uważnie na Bryony.

— Widzę, że nie pijesz. Może teraz ty poprowadzisz? Oczywiście rozbłysły.

— Ufasz mi na tyle, że dasz mi poprowadzić ferrari na oblodzonej drodze?

— Będę obok. Co złego może się wydarzyć?

Jednak kiedy w końcu wyszli z restauracji, zobaczyli, że przybyło kilkanaście centymetrów śniegu. Bryony z powątpiewaniem spojrzała na drogę.

— Nie wiem, czy chcę prowadzić... Może ktoś nas podwiezie samochodem terenowym?

— Nie ma wolnych miejsc. — Jack popchnął ją lekko w kierunku swego auta. — Będzie dobrze.

Bryony ruszyła wolno, ale stopniowo przybywało jej pewności siebie. Dziwiła się tylko, że nie słyszy żartów i dogadywania Jacka. Kiedy zerknęła w bok, zrozumiała dlaczego. Jack smacznie spał.

Jechała więc dalej, ale w pewnej chwili zauważyła, że okolica wcale nie wygląda znajomo. Miała nadzieję, że zobaczy jakiś drogowy znak, ale nic takiego nie dostrzegła. Padał gęsty śnieg, więc kiedy w oddali zajaśniały światła zjazdu, poczuła ulgę. Przynajmniej się dowiedzą, dokąd zajechali.

Zatrzymała samochód, a Jack obudził się i ziewnął.

— To już dom⁷

Bryony przygotowała się psychicznie na uszczypliwe żarty i docinki.

— Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy — wyznała.

Przez chwilę milczał, przyglądając się zajazdowi niezbyt jeszcze przytomnym wzrokiem.

— Jeśli już pomyliłaś drogi, to dobrze, że chociaż wybrałaś taką, która zaprowadziła nas do zajazdu — rzekł bez troski, po czym odpiął pas i otworzył drzwi.

— Dokąd idziesz? Masz zamiar spytać o drogę? — zdziwiła się.

— Oczywiście, że nie. Jestem mężczyzną. Dowiem się, czy droga dalej jest przejezdna. Moje wybujałe ego nie chce spędzać nocy w jakiejś zaspie. Jest na to zbyt ciepłolubne.

Zniknął we wnętrzu pubu. ale chwilę później znów się pojawił. Minę miał poważną.

— Tak jak podejrzewałem, droga jest dalej nieprzejezdna. Odśnieżają dopiero rano. Możemy tu przenocować. Musisz zadzwonić do mamy?

Bryony potrząsnęła głową i odpięła pas.

— Lizzie ma u niej zostać przez cały jutrzejszy dzień. Wybierają się razem na świąteczne zakupy.

— Bardzo dobrze. W takim razie przenocujemy tutaj, a rano przy dobrym śniadaniu zaczekamy, aż odśnieżą drogi — oznajmił radośnie i pomógł jej wysiąść z samochodu.

— Nie wzięłam nic do spania — zaprotestowała, ale Jack tylko wzruszył ramionami i wprowadził ją do ciepłego wnętrza zajazdu.

— Możesz spać w bieliźnie — poradził. — No chyba że wolisz spać w mojej.

Zgromiła go wzrokiem, lecz on tylko uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Właścicielka zajazdu powitała ich serdecznie i podała klucz.

— To ostatni wolny pokój. Mają państwo szczęście. Został nam apartament dla nowożeńców'. Urządziliśmy go specjalnie dla tych, którzy chcą tu spędzić romantyczną noc.

Bryony poszła za Jackiem po schodach.

— Ostatni wolny pokój? — powtórzyła ze zmarszczonymi brwiami. — Tylko jeden? I na dodatek apartament dla nowożeńców?

— Nic nie szkodzi. — Jack otworzył drzwi kluczem. — Prześpię się w fotelu.

Ale w apartamencie nie było fotela, tylko olbrzymie łoże z futrzaną narzutą i jedwabną pościelą, mała garderoba i wielka marmurowa łazienka.

Gdy spojrzeli na siebie, Bryony parsknęła śmiechem.

— To jest apartament dla nowożeńców — powiedziała słodko, a Jack z niedowierzaniem rozglądał się dokoła.

— Wiedziałem, że musi istnieć jakiś pow*ód, dla którego nie chcę się żenić. — Zdziwiony spojrział na łoże. — Lizzie ma podobne łóżko dla lalek, praw*da?

— Nie widzę fotela. Będziesz musiał spać na podłodze.

— Nie ma mowy. Nie będę spał na tym dywanie. Łoże jest takie olbrzymie, że swobodnie zmieścimy się w nim oboje. A jak zamknę oczy, to może uda nu się zapomnieć o tych filtrach i jedwabiach.

Bryony patrzyła na niego zaskoczona. Czyżby proponował, by spali w jednym łóżku⁷

Zobaczył jej minę i pytająco uniósł brwi.

— Na litość boską, znamy się od dwudziestu dwóch lat. Nie ufasz mi. Blondi?

Przełknęła ślinę. Jemu ufała, ale sobie nie. Jednak gdyby mu to wyznała, zdradziłaby swe uczucia. Trudno, odwróci się do niego plecami i postara zapomnieć, że leży obok niej. Łoże rzeczywiście jest ogromne.

Uśmiechnęła się blado i weszła do łazienki.

Ratunku! Patrzyła na swoje odbicie w lustrze i zastanawiała się, czy spać w sukience, czy bez. Jeśli ją zdejmie, to...

Pięć minut później z zamyślenia wyrwało ją łomotanie do drzwi.

— Wessało cię do jakiejś rury? Pośpiesz się! — krzyczał Jack.

Bryony zamknęła oczy. Na Jacku najwyraźniej nie robił wrażenia fakt, że spędzą noc w jednym łóżku. Wobec tego ona również nie będzie się przejmować.

Umyła się, korzystając z wyłożonych w łazience *przyborów* toaletowych, i z szerokim uśmiechem otworzyła drzwi.

— Już wolne, możesz wejść. Na pewno spodobają ci się krany w kształcie syreny.

Kiedy Jack zamknął za sobą drzwi, szybko zdjęła sukienkę i w biegnie wskoczyła do łóżka. Pościel okazała się lodowata, więc przez chwilę leżała, trzęsąc się z zimna.

Słyszała szum prysznic, a potem do pokoju wrócił Jack w ręczniku owiniętym wokół bioder. Serce zabiło jej mocniej i nagle zimno przestało jej dokuczać.

Oczywiście już dawniej widywała jego ciało — na plaży, na basenie, kiedy chodzili tam razem z Lizzie. Nigdy jednak w łóżku. W mrocznym świetle widziała

jego muskularne ramiona i płaski brzuch. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje.

— Będiesz spał w tym ręczniku? — zapytała.

Jack z rozbawieniem spojrział na łóżko.

— Strasznie wielkie — stwierdził. — Potrzebowałbym mapy, żeby cię w nim znaleźć.

— Nie musisz mnie szukać — odrzekła pośpiesznie. — Późno już. Idź spać.

Odwróciła się na bok i zamknęła oczy. Nic to jednak nie zmieniło. Nadal widziała jego wspaniałe ciało. Wyczuła, że łóżko lekko się ugięło, a potem zgasło światło.

Przez chwilę żadne z nich się nie ruszało. Nagle usłyszała ciche przekleństwo.

— Zaraz tu zamarznię. To łóżko jest lodowate.

— Spij już.

— Nie mogę. Za głośno szcękam zębami.

Westchnęła i odwróciła się w jego stronę. W końcu w ciemnościach nie ma to znaczenia.

— No to włóż koszulę.

— Nie zamierzam spać w koszuli.

— To śpij w mojej sukience — prychnęła rozbawiona.

— Świetny pomysł... Ale mam lepszy. Możemy się przytulić. Rozgrzej mnie, bo do rana zamarznię na śmierć.

Zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć, przyciągnął ją do siebie, tak że leżeli twarzą w twarz.

— Jack! — Zesztywniała i oparła mu dłonie na piersi, by go odepchnąć, jednak on ani drgnął.

— Odpręż się. dobrze? — Jego głos w ciemnościach brzmiał tak cudownie! — Wiesz równie dobrze jak ja, że ciało jest bardzo dobrym źródłem ciepła.

Ciepła? Raczej żarn. Czuła jego ciało tuż przy swoim. Wcale nie było zmarznięte.

— Jack. nie mogę...

— Cicho. Blondi. — Położył jej dłoń na karku, przyciągnął do siebie i pocałował.

— To jest wielki błąd — wyszeptała.

— Pewnie tak, ale lubię popełniać błędy. Dzięki temu nie jestem absolutnie doskonały.

Roześmiała się i uderzyła go w ramię, a przynajmniej chciała to zrobić, ale jej dłoń, jakby z własnej woli, rozprostowała się i zaczęła się delikatnie przesuwać po jego gładkiej skórze.

— Jack... — Tym razem jej głos był tylko szeptem.

— Nic nie mów. — Znów ją pocałował, a ona odpowiedziała na jego pocałunek.

Miała wrażenie, że to sen. Wokół panowały ciemności, reszta świata nie istniała. Był tylko Jack, jego pocałunki, dotyk, ciężar ciała. Kiedy zaczął pieścić jej piersi, wygięła się zapraszająco i zaczęła całować go jeszcze mocniej. Wprawnym mchem zdjął jej stanik i zapalił nocną lampkę.

— Co robisz? — zdziwiła się.

— Chcę na ciebie patrzeć.

Chciała zgasić światło, ale chwycił ją za ramię i unieruchomił je nad jej głową.

— Proszę...

— Chcę na ciebie patrzeć, bo jesteś piękna. Blondi. Wiesz o tym?

Odrzucił pościel i przebiegł wzrokiem po jej nagim ciele. Potem zanurzył dłoń w jej włosach i gładził je palcami, jakby je widział pierwszy raz. Przez chwilę patrzyli na siebie w bezruchu, a potem zaczęli się całować z jeszcze większą namiętnością.

Jej głód był równie wielki jak jego.

— Chcesz, żebym przestał? — Jego głos był matowy od niespełnionego pożądania.

— Nie. — Gładziła go po plecach. — Nie przestawaj.

W jego oczach rozbłysnął ogień. Całował ją wolno, zmysłowo. Badał każdy centymetr jej ciała, umiejętnie pobudzając jej zmysły. Ona odpowiadała mu równie śmiałymi pieszczotami. Czuła, że musi ugasić szalejący w niej pożar.

— Jack, proszę...

Wszedł w nią jednym zdecydowanym ruchem, budząc w niej odczucia, które tylko przeczuwała. Krzyknęła w ekstazie, a on jęknął głucho, cały czas patrząc jej w oczy. Byli tak mocno złączeni, że stała się jego częścią.

— Bryony...

Odkąd pamiętała, to był pierwszy raz, kiedy nazwał ją po imieniu.

Jednocześnie dotarli do szczytu. Poczuła, że świat wokół niej wybucha tysiącem fajerwerków, a ciało Jacka drży.

Potem kilka długich minut leżeli w całkowitym milczeniu, zmęczeni i nasyceni. Wciąż patrzyli sobie w oczy, dzieląc się głębią uczuć, której żadne z nich przedtem nie zaznało.

W końcu Jack z niedowierzaniem potrząsnął głową i położył się na plecach, wciągając ją na siebie.

Leżała wtulona w niego, z zamkniętymi oczami i bezwiednie uśmiechała się ze szczęścia.

Jack ją kocha. Dostrzegła to w jego oczach. Czuła to w jego pieszczotach. Nie miała wątpliwości.

Jack ją kocha.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziła się ogarnięta poczuciem bezpieczeństwa. W silnych, męskich ramionach było jej ciepło i przytulnie.

Przypominała sobie szczegóły nniionej nocy. Przywarła ciasniej do Jacka i delikatnie pocałowała go w usta, żeby go obudzić.

— Kochani cię.

Wreszcie mogła wypowiedzieć te słowa. Marzyła o tym całe życie. I natychmiast wyczuła, że Jack gwałtownie się wycofuje. Nie fizycznie, ponieważ nawet nie drgnął, ale psychicznie. W jego oczach pojawiła się jakaś obcość. Na ten widok żołądek podskoczył Bryony do gardła.

— Posłuchaj, Blondi... — rzeki lekko łamiącym się głosem, po czym wypuścił ją z objęć, położył się na plecach i wbił wzrok w sufit. Zamknął oczy i tylko na policzku lekko drgał mu nerw. — Jeśli chodzi o tę noc...

— Nie nazywaj mnie Blondi. — Głos jej drżał. Oparła się na łokciu i spojrzała na niego. Nie pozwoli mu udawać, że nie wydarzyło się między nimi nic szczególnego. — Zapomniałeś, że tej nocy po raz pierwszy w życiu nazwałeś mnie Bryony? Kiedy się kochaliśmy...

Nie otwierał oczu.

— O ile pamiętam, oboje się zgodziliśmy, że popełniamy błąd.

— Dla mnie to nie był błąd. — Wiedziała, że wiele ryzykuje, ale nie miała odwrotu. — Kocham cię, Jack.

Gwałtownie otworzył oczy i przez chwilę na nią patrzył. Potem wciągnął! głęboko powietrze i wyskoczył z łóżka.

— Blond... przepraszam. Bryony — poprawił się, sięgając po ubranie. — Wcale mnie nie kochasz. Tak ci się wydaje, bo się kochaliśmy. Po seksie kobiety zawsze wpadają w cklivy nastrój.

Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś tak szybko się ubierał. Po dosłownie kilku sekundach Jack nerwowo szukał butów.

— Dlaczego wpadłeś w panikę? — zapytała spokojnie.

— Wcale nie wpadłem. — Znalazł buty i wciągnął je na nogi bez rozluźniania sznurowadeł. — Po prostu pora jechać.

— Wpadłeś w panikę, bo powiedziałam, że cię kocham.

Skrzywił się i wzburzył dłonią i tak już potargane włosy.

— Nie wpadłem w panikę, ponieważ wiem, że to nieprawda — upierał się.

— Ależ to jest prawda. — Wzięła głęboki oddech. — Co więcej, ty też mnie kochasz.

Znieruchomiał, wpatrzony w nią czujnie, jakby była niebezpiecznym zwierzęciem, które w każdej chwili może się na niego rzucić. Potem zaklął pod nosem i westchnął.

— Bryony. — Wypowiedział jej imię twardo i oschle. — Spędziliśmy ze sobą noc. Było miło... — Zmarszczył czoło. — Można powiedzieć, że wręcz cudownie... — Odchrząknął. — Ale udany seks wcale nie oznacza, że jesteś zakochana.

— Oczywiście, że nie. — Usiadła na łóżku. Z satysfakcją zauważyła, jakie wrażenie wywarł na nim widok jej nagich piersi. Szybko podciągnęła kołdrę pod szyję. — Kochaliśmy się, jeszcze zanim poszliśmy do łóżka. Seks był cudowny właśnie dlatego, że się kochamy. Ty też to czułeś. Wiem o tym. Widziałam to w twoich oczach. Czułam to.

— Kochaliśmy się, zanim poszliśmy do łóżka? Co chcesz przez to powiedzieć? — Oblizał wargi. Jego wzrok mimowolnie pobiegł ku drzwiom. — Przyjaźnimy się od dwudziestu dwóch lat. Jasne, że się kochamy, ale jak przyjaciele.

— Ja cię kocham zupełnie inaczej — wyznała cicho. — Od zawsze.

Nastąpiła długa, pełna napięcia cisza. Nagle Jack potrząsnął głową.

— To nieprawda. A co powiesz o ojcu Lizzie?

Bryony poczuła, jak spada na nią jakiś wielki ciężar. Z nikim nie rozmawiała o ojcu Lizzie. Nigdy.

— Raz próbowałam się w tobie odkochać, stąd się wzięła Lizzie. — Spojrzała, że pobladł. — Kocham cię, odkąd pamiętam, ale pogodziłam się z faktem, że nigdy się z nikim nie ożenisz. Postanowiłam przestać o tobie marzyć i zrobić coś ze swoim życiem.

— To nie może być prawda.

— Ale jest. Spotkałam ojca Lizzie na przyjęciu. Był przystojny, dowcipny...

Jack zacisnął usta.

— Oszczędź mi szczegółów — warknął.

Bryony patrzyła na niego z rezygnacją. Czyżby nie widział, że sam sobie przeczy? Przed chwilą mówił, że jej me kocha, teraz okazywał wszelkie oznaki zazdrości.

— Spędziliśmy ze sobą tylko jedną noc — powiedziała w końcu. — Bardzo chciałam o tobie zapomnieć.

— I udało się, tak? — Oczy dziwnie mu błyszczały. — No bo przecież nigdy w żaden sposób nie pokazałaś po sobie, że ci na mnie zależy.

Westchnęła głęboko.

— Nic nie pokazywałam, bo zachowałbyś się tak jak teraz. Wpadłbyś w panikę. Nie udało mi się o tobie zapomnieć. Przekonałam się tylko, że jestem kobietą, której serce należy do jednego mężczyzny. Do ciebie.

— Ale spałaś z innym.

Zaczerwieniła się.

— Tylko ten jeden raz.

— Ale przecież na pewno sypiałaś z innymi, tak?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Przecież żaden z nich nie był tobą.

Zobaczyła, że jest wstrząśnięty jej wyznaniem.

— Czyli ta noc była dla ciebie drugą nocą spędzoną z mężczyzną?

— Owszem. Dlaczego pytasz? Rozczarowałam cię?

Jego czoło lekko błyszczało od potu.

— Dobrze wiesz, że mnie me rozczarowałaś. — Na chwilę zamknął oczy. — Blond... Bryony, nie wiem, co powiedzieć.

— Powiedz, że też mnie kochasz — wydusiła przez ściśnięte gardło. — Wiem, że tak jest. Widziałam to w nocy w twoich oczach.

— Nie mogę tego powiedzieć. — Minę miał ponurą. — Niestety, nie mogę. Dobrze wiesz, że nie nadaję się do żadnego poważnego związku.

— Ależ nadajesz się. — Przechyliła głowę w bok. — Przez ostatnie dwadzieścia dwa lata zawsze stałeś u ino-

jego boku. Odkąd urodziła się Lizzie, wspierasz ją, jak tylko możesz. Jeśli to nie jest poważny związek, to już sama nie wiem, co nim jest. Ty mnie kochasz. Jack.

Wiedziała, że na niego naciska, i serce biło jej niespokojnie w oczekiwaniu na jego reakcję. Może źle robiła? Ale czy miała coś do stracenia?

— Nie mogę być tym, kim byś chciała. Zawiódłbym i ciebie, i Lizzie.

— Nie wierzę — zaprotestowała łagodnie. — Wiem, że w dzieciństwie bardzo przeżyłeś rozwód rodziców i że ich małżeństwo było całkowicie nieudane. Tylko że oni się nie kochali, a my się kochamy. Jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

— Czy dlatego się ze mną przespałeś? — Badawczo patrzył jej w oczy. — Miałaś nadzieję, że wyznam ci... że ci powiem...

Nie potrafi wymówić słowa „kocham” nawet w zwykłej rozmowie, zauważyła ze smutkiem Bryony.

— Przespałam się z tobą, bo tak chciałam, a przede wszystkim dlatego, że cię kocham — odrzekła cicho. — Nie usiłuję złapać cię w potrzask. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. I wiem, że ty też mnie kochasz.

— To nieprawda.

— Jack — tłumaczyła mu cierpliwie. — Od listopada umawiam się z innymi, a przynajmniej starałam się to robić. Nie bardzo mi to wychodziło i zastanawiałam się, dlaczego.

Spojrzał na nią czujnie.

— Co to ma ze mną wspólnego?

— Wszystko. — Westchnęła cicho. — Kiedy pierwszy raz umówiłam się z Davidem, skrytykowałeś moją sukienkę. Powiedziałeś, że jest nieprzyzwoita.

— Bo była nieprzyzwoita.

— Ale innym razem, kiedy byłam tylko w twoim towarzystwie, nie pozwoliłeś mi jej zdjąć. Wtedy nie wydawała ci się nieprzyzwoita.

Wciągnął głęboko powietrze i lekko się zaczerwienił.

— To zupełnie co innego.

— Nie pozwalałeś mi zaprosić go na kawę. nie chciałeś, żeby odwiózł mnie do domu... — Wymieniała zdarzenia z przeszłości, a Jack coraz bardziej się denerwował.

— Przecież nigdy nie mówiłem, że mnie nie obchodzi — oznajmił sztywno. — To, że staram się ciebie uchronić przed poślubieniem nieodpowiedniego faceta, nie znaczy jeszcze, że cię kocham. Wyciągasz mylne wnioski. To taka typowo kobieca rozrywka.

— Czyżby? — zapytała spokojnie. — Gdzie spędzasz większość wolnego czasu? We własnym domu?

— Prowadzę bujne życie towarzyskie.

— W twoim przypadku oznacza to tyle, że sypiasz z różnymi kobietami, ale tak naprawdę nie spędzasz z nimi czasu. Masz wielki dom, ale rzadko kiedy tam bywasz. Na ogół przesiadujesz u mnie, w mojej kuchni. Jesteś częścią mojego życia i życia Lizzie.

— Przyjaźnimy się.

Skinęła głową.

— I to jest właśnie podstawa udanego małżeństwa. Tak było w związku moich rodziców. W dobrym małżeństwie mąż i żona są zarówno przyjaciółmi, jak i kochankami.

Cofnął się i patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Czyżbyś chciała się oświadczyć?

— Nie. Czekam, aż ty to zrobisz. A potem przez całe życie będziemy mogli spędzać razem fantastyczne noce

i cieszyć się niezwykłą przyjaźnią, która nas łączy. A Lizzie dostanie tatusia, o którym tak bardzo marzy.

Przez chwilę stał w milczeniu, a potem nagle chwycił kurtkę.

— Nie. — Włożył ją szybko i zapiął suwak. Jego twarz przybrała zdecydowany wyraz. — Chyba oszalałaś. Dla mnie to był tylko seks. Bardzo udany, ale tylko seks.

— Jack...

— Nie będziemy o tym więcej rozmawiać.

— Jack!

— Idę rozgrzać silnik.

Ze łzami w oczach patrzyła, jak znika za drzwiami.

— Dlaczego facet jest jak tusz do rżęs? — wymamrotała do siebie. — Ponieważ znika na widok pierwszej łyzy.

— Lizzie na pewno się cieszy, że idą święta. — Nicky podała Bryony strzykawkę z antybiotykiem, który miał zostać wstrzyknięty pacjentowi.

— Oczywiście. — Unikała wzroku pielęgniarki. — Jutro Wigilia.

— Co jej kupiłaś?

— To. co zwykle się kupuje dziewczynkom. Spinki do włosów, ubranka dla lalek, nową lalkę, która jej się bardzo podobała...

Wszystko oprócz rzeczy, której pragnęła najbardziej — tatusia. Na dodatek jeszcze nie powiedziała córce, że Mikołaj w tym roku nie przyniesie jej wy^narzonego prezentu.

— Nic ci nie jest? — zaniepokoiła się Nicky, kiedy odeszły od pacjenta. — Zbladłaś i nic nie mówisz.

— Wszystko w porządku. — Bryony uśmiechnęła się niemrawo. — Po prostu jestem zmęczona.

— Rzeczywiście. Ostatnimi dniami bardzo dużo pracowałaś. A wszystko przez to, że Jack zniknął. Nie wiesz, gdzie się podziewa?

Bryony potrząsnęła głową. Po wspólnej nocy w zajeździe bez słowa odwiózł ją do domu i po prostu zniknął. Nawet Sean nie wiedział, co się z nim dzieje, chociaż przyznał, że Jack do niego zadzwonił i poprosił o urlop.

Ona rzuciła się w wir pracy, której o tej porze roku miała bardzo wiele. Do izby przyjęć napływał ciągły strumień pacjentów ze złamaniami i stłuczeniami.

Tej nocy, kiedy układała córkę spać, czuła, że coś ją ściska w gardle.

— Lizzie... — Usiadła na skraju jej łóżka i wzięła głęboki oddech. — Musimy porozmawiać, skarbie.

Nie mogła znieść myśli, że za chwilę zgasi radość, którą widziała w oczach dziecka. Musi jednak coś powiedzieć. Lizzie nie może dłużej wierzyć, że Mikołaj przyniesie jej tatusia.

— Kochanie, pamiętasz swój list do Świętego Mikołaja?

— Napisałam go już dawno. — Dziewczynka krwnęła głowią. — Chcę dostać specjalny prezent, więc Mikołaj musiał mieć dużo czasu, żeby go znaleźć.

— Tutaj nie chodzi o czas. Lizzie — powiedziała łagodnym tonem. — Tatuś to nie jest coś, co Mikołaj zostawia pod choinką. — Łzy spłynęły jej po policzkach, więc otarła je szybko, nie chcąc, by córka to widziała. — To ja muszę ci go znaleźć, a na razie mi się nie udało. — Z emocji nie mogła mówić dalej. Bała się, że za chwilę zacznie szlochać.

Lizzie usiadła na łóżku i zarzuciła jej ręce na szyję.

— Mamusiu, nie bądź smutna. Nie musisz mi szukać

tatusia. Właśnie dlatego napisałam do świętego Mikołaja. Nie musisz się już o niego martwić.

Bryony potrząsnęła głową.

— Lizzie, ale on nie może...

— Byłam bardzo grzeczna — przerwała jej córka i usadowiła się jej na kolanach. — Bardzo się starałam. Ale kiedy już dostanę tatusia, to nigdy więcej nie odezwę się do Sally. Ona jest okropna.

Bryony uśmiechnęła się przez łzy i pogładziła dziewczynkę po głowie.

— Wiem, że byłaś grzeczna, aniołku, ale to nic nie zmienia. Mikołaj nie może ci przynieść tatusia. Powinam ci to powiedzieć już dawniej.

— Zaczekaj, a sama zobaczysz. — Lizzie nie traciła pewności. Z pełnym zadowolenia uśmiechem ułożyła się w pościeli. — Dobranoc.

— Dobranoc. — Bryony przymknęła oczy.

Co mogła zrobić? Musi poczekać do świątecznego poranka i mieć nadzieję, że inne prezenty zrekompensują córeczce brak wymarzonego taty.

Wigilijne przedpołudnie Bryony spędziła w pracy. Jack nadal się nie pojawiał.

— Wydaje mi się, że jest w domu — odparł Sean, kiedy z wahaniem zapytała go o przyjaciela.

Zmarszczyła brwi. Uznała to za mało prawdopodobne. Rzadko bywał w domu, zwłaszcza w okrasie świątecznym. Spędzał czas u niej, w towarzystwie Toma i Olirera, albo w swoim służbowym pokoju w szpitalu.

— Jedziesz na święta do mamy? — Sean włożył kurtkę i sięgnął po telefon komórkowy.

— Dzisiejszą noc spędzimy z Lizzie u siebie. Jutro

idziemy do mamy na obiad. Przyjdą też Tom i OHver, jeśli pacjenci na to pozwolą.

Sean uniósł pytająco brwi.

— A Jack?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Zwykle też przychodzi, ale w tym roku...

— Urwała i uśmiechnęła się do Seana. Nagle odczuła potrzebę zmiany tematu. — Idziesz odwiedzić Ellie i jej małżeństwo?

— Tak. Oboje dobrze się czują, więc dzisiaj zostaną wypisani do domu.

— Przekaż jej moje pozdrowienia.

W drodze do domu Bryony wstąpiła do matki i odebrała córkę. Dziewczynka była tak przejęta zbliżającymi się świętami, że podskakiwała na siedzeniu niczym kangur. Bryony miała wrażenie, że za chwilę pęknie jej serce.

— Fajnie by było, gdyby Mikołaj przyniósł ci tę lalkę, która tak ci się podobała w sklepie — odezwała się, ale Lizzie tylko potrząsnęła głową.

— Wystarczy mi tatuś.

Bryony nic więcej nie powiedziała. Nie umiała wytłumaczyć córce, że jej marzenie może się nie spełnić.

Z pogodną miną przygotowała podwieczorek i nad łóżkiem dziewczynki zawiesiła skarpety na prezenty. Na kominku zostawiła dla Świętego Mikołaja babeczkę z bakaliami.

— Możemy jeszcze zostawić marchewkę dla reniferów? — spytała Lizzie.

— Oczywiście. — Sięgnęła do kosza z warzywami. Miała nadzieję, że renifery nie okażą się zbyt wybredne, ponieważ jej marchewka miała już najlepsze dni za sobą.

Lizzie była bardzo podekscytowana i z trudem udało się ją nakłonić do kąpieli i przygotować do snu.

— To będą najlepsze święta pod słońcem — oznajmiła córka, kiedy Bryony całowała ją na dobranoc. — Mikołaj nie przyjdzie, jeśli zobaczy, że nie śpię. więc postaram się zaraz zasnąć.

Bryony zagryzła wargi i objęła dziewczynkę.

— Dobranoc, skarbie. Miłych snów.

Jeszcze raz spojrzała na jasne loki córeczki rozrzucone na różowej poduszce, włączyła lampkę nocną i wyszła z sypialni.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— Mamusiu, Mikołaj już u nas był!

Bryony usiadła na łóżku. Lizzie weszła do jej sypialni, ciągnąc za sobą wypełnioną prezentami skarpetę.

— Zobacz, ile różnych rzeczy dostałam! Mogę zjeść czekoladę na śniadanie? — Przejęta oglądała otrzymane podarunki.

— Dobrze — powiedziała Bryony z czułym uśmiechem. — Wskakuj do łóżka. Razem zobaczymy, co dostałaś.

— Za chwilę. — Dziewczynka rzuciła skarpetę i wybiegła z pokoju. — Najpierw muszę znaleźć tatusia.

Bryony opadła na poduszki i jęknęła cicho.

— Lizzie, już ci mówiłam, że nie dostaniesz od Mikołaja taty pod choinkę.

— Nie znajdę go w skarpecie, przecież by się tam nie zmieścił! — zawołała córka z korytarza. — Muszę sprawdzić, czy go nie ma pod choinką.

Bryony zamknęła oczy, słuchając tupotu drobnych stóp na schodach. Zrozumiała, że żadna lalka nie zrekompensuje rozczarowania dziewczynki.

Wyrzucała sobie, że bardziej się nie starała. Mogła przecież zwrócić się o pomoc do biura matrymonialnego. Wykorzystać więcej możliwości. Uznała, że powinna zejść na dół, by pocieszyć Lizzie. Kiedy wstała z łóżka, z dołu dobiegł ją radosny pisk.

Zamarła w bezruchu. Co Lizzie znalazła pod choinką, co ją aż tak ucieszyło? Może jednak lalka okazała się trafionym pomysłem? Potem usłyszała śmiech, który rozpoznałaby wszędzie.

Jack?

Stała u szczytu schodów i spojrzała w dół. Na dywanie pod choinką zobaczyła wyciągniętego Jacka. Mówił coś cicho do Lizzie, a dziewczynka chichotała uszczęśliwiona.

— Jack? — Zeszła ze schodów, mocno trzymając się poręczy. — Co tu robisz? Dlaczego leżysz pod moją choinką?

Usiadł, a jego niebieskie oczy przeszły ją na wylot.

— Ponieważ właśnie pod choinką znajduje się prezenty — wyjaśnił i uśmiechnął się łobuzersko. — A ja jestem świątecznym prezentem dla Lizzie.

Bryony poczuła, że rozpala się w niej iskierka nadziei. Zaraz jednak przywołała się do porządku. Świąteczny prezent dla Lizzie. Oczywiście. Zrobił to, ponieważ chciał oszczędzić dziecku rozczarowania. Prędzej czy później będzie musiał wyznać dziewczynce, że to tylko taka zabawa.

— Jack—zaczęła poważnie, ale on tylko usiadł z radosną miną, wciąż trzymając Lizzie w objęciach. Sięgnął pod drzewko i wręczył dziecku pięknie zapakowane pudło.

— Sam siebie nie mogłem owinać w kolorowy papier, więc zapakowałem dla ciebie inny prezent.

Lizzie zapiszczała z uciechy.

— To dla mnie?

— Jasne. — Jego wzrok powędrował ku Bryony, która stała na ostatnim stopniu schodów, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Nie do końca pojmowała, co się dzieje.

Lizzie rozdarła papier i aż jęknęła z zachwytu. W pudele znalazła suknię z pięknego różowego jedwabiu.

— O! I buciki w tym samym kolorze! I nowy diadem! Jack patrzył na Bryony.

— Ktoś mi kiedyś mówił, że dla małej dziewczynki diademów nigdy za dużo — powiedział cicho. Oczy dziwnie mu błyszczały. — Takie rzeczy trzeba wiedzieć, jeśli chce się być dobrym ojcem.

Bryony uśmiechnęła się niepewnie i przyjrzała się różowej dziecięcej kreacji. Sukienka wyglądała jak...

— To śliczny prezent — zachwyciła się Lizzie. gładząc miękki jedwab. — Mogę ją zaraz włożyć?

Jack potrząsnął głową.

— Jeszcze nie dziś, ale już wkrótce. Przynajmniej taką mam nadzieję. Wiesz, co to za sukienka?

Lizzie zaprzeczyła, a serce Bryony zaczęło bić jak oszalałe. Usiadła na stopniu schodów, bojąc się, że kolana odmówią jej posłuszeństwa.

— To sukienka druhny panny młodej — wyjaśnił Jack, nie spuszczając wzroku z Bryony. — Chcę, żebyś ją miała na sobie, kiedy będę brał ślub z twoją mamą.

— Ożenisz się z moją mamusią? — Lizzie aż podskoczyła z radości. — Będziesz się bawił w ślub?

Jack wstał z dywanu.

— To nie będzie zabawa. — Podeszedł do Bryony. — Naprawdę chcę się ożenić.

Sięgnął do kieszeni i wyjął małe pudełeczko owinięte w srebrny papier.

— Jakie ładne! — zawołała Lizzie.

Bryony podniosła wzrok na Jacka.

— Wstaniez? — zapytał i wyciągnął do niej rękę.

Posłusznie ujęła jego dłoń.

— Jack...

— Bryony. czy zechcesz zostać moją żoną? — Jego głos brzmiał seksownie i uwodzicielsko, a po twarzy błąkał się uśmiech.

Żołądek podskoczył jej do gardła. Nie wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Zerknęła na córkę, która podskakiwała jak piłeczka.

Wzięła głęboki oddech i spojrzała na pudełeczko.

— Ale ty się nie chcesz żenić. Mówiłeś, że nigdy nie założysz rodziny — zaczęła, a on wcisnął jej paczuszkę w dłoń.

— Zapomniałaś, że czasami popełniam błędy? — Mru-gnął do niej porozumiewawczo.

— Pamiętam, pamiętam. Dzięki temu nie jesteś ab-solutnie doskonały.

— Właśnie. Otwórz pudełko. Blondi.

— Tak! Tak! Otwórz je, mamusiu.

Lizzie tańczyła wokół nich. Bryony drżącymi palcami rozdarła papier i zobaczyła pudełeczko obite granato-wym aksamitem.

— To chyba nie diadem — wyszeptwała Lizzie. a Bryony musiała się uśmiechnąć.

— Tak myślisz? — Wzięła głęboki oddech i zajrzała do środka.

— Och. mamusiu! Jaki piękny! — jęknęła Lizzie na widok pierścionka z brylantem. Kamień skrzył się i mi-gotał w świetle choinkowych lampek.

— Wspaniały. — Bryony przełknęła ślinę. — Jak... Dla-czego...

Jack patrzył na nią przez chwilę, a potem zwrócił się do Lizzie.

— Wiesz co, może jednak pójdziesz do siebie na górę

i przymierzysz sukienkę? — zasugerował. — Zobaczymy, czy pasuje.

Dziewczynka jak strzała pomknęła na górę.

Serce Bryony chciało wyskoczyć z piersi. Nadal jednak nie mogła uwierzyć, że to nie jest sen.

— Dzięki tobie ma szczęśliwie święta — powiedziała, spoglądając w ślad za córką. — Ale nie możesz się ożenić tylko ze względu na dziecko.

— Nie robię tego dla Lizzie. — Ujął jej twarz w dłonie i odwrócił ku sobie. — Robię to dla siebie i dla ciebie.

Starła się nie patrzeć na jego kuszące usta.

— Przecież zawsze twierdziłeś, że małżeństwo nie jest dla ciebie — wykrztusiła. — Dla ciebie „na zawsze” nie istnieje.

— Tak mi się wydawało, ale to była pomyłka.

Potrząsnęła głowią. Kusiło ją, by po prostu przyjąć to, co jej ofiarował. Wiedziała jednak, że musi jeszcze coś powiedzieć.

— Istnieje jeden powód, dla którego warto się z kimś związać. Nie robi się tego po to, żeby sprawić przyjemność dziecku.

— Wiem. — Odgarnął jej włosy z czoła. — Prawdę mówiąc, wiem to lepiej niż inni. Widziałem moich rodziców, którzy pobrali się z zupełnie niewłaściwych powodów.

— A więc co tobą kieruje?

Pochylił głowę tak, że jego usta znalazły się tuż przy jej wargach.

— Chcę się z tobą ożenić, bo cię kocham — wyznał szeptem. — I nie wiem, dlaczego zrozumieme tego faktu zajęło mi tyle czasu.

Nie wierzyła własnym uszom. Po chwili poczuła, że po jej ciele rozchodzi się jakieś mile ciepło.

— Kochasz mnie...

Uśmiechnął się do niej, co jak zwykle wywołało w niej dreszcz rozkoszy.

— Przecież o tym wiesz. To ty mi to uświadomiłaś.

— A ty uciekłeś z piskiem opon.

Roześmiał się.

— I bardzo cię za to przepraszam.

— Gdzie pojechałeś?

— Wróciłem do swojego domu.

Spojrzała na mego zaskoczona.

— Do domu? Ale przecież ty tam prawie me bywasz.

— Właśnie. — Skrzywił się lekko. — Co jest zupełnie bez sensu, bo to piękny dom, z wielkim ogrodem i wspólnymi widokami.

— Dla ciebie jednak nigdy nie był to prawdziwy dom, prawda?

Potrząsnął głową.

— Tak, to prawda. Ty, jako jedna z niewielu osób, dobrze to rozumiesz. — Spojrzał jej głęboko w oczy. — Pojechałem do siebie, usiadłem w pustym domu i rozmyślałem o tych wszystkich latach, kiedy byłem tam nieszczęśliwy. Nagle zdałem sobie sprawę, że dom to nie piękny budynek czy rozległy ogród. Dom to ludzie. A mój dom jest tam, gdzie jesteś ty. Bryony. Tak było zawsze.

— Jack...

— Bałem się z kimś związać, żeby moje małżeństwo nie okazało się takie jak małżeństwo rodziców. Ale przecież my ich nie przypominamy. — Otoczył ją ramionami. — Powiedziałaś mi, że kochasz mnie od zawsze. Czy to prawda?

— Całkowita.

Wciągnął głęboko powietrze.

— Ja też cię kocham od zawsze. Jednak małżeństwo ciągle kojarzyło mi się z katastrofą życiową, więc nie chciałem narażać naszego związku.

— Tu nie ma żadnego ryzyka — zapewniła. — Lizzie i ja zawsze będziemy blisko siebie.

— A ja przy was. — Wyjął jej pudełko z ręki. — Ten pierścionek mówi, że jesteś moja. Na zawsze. Żadnych randek, żadnego szukania innych mężczyzn, którzy mieliby ci pomóc o mnie zapomnieć. Od dzisiaj istnieję dla ciebie tylko ja.

Z drżącym uśmiechem patrzyła, jak Jack wsuwa jej na palec pierścionek.

— Jaki piękny kamień! — szepnęła zachwycona.

Jack patrzył na jej usta.

— Kocham cię, najmilsza.

Na schodach rozległ się jakiś hałas.

— Tym razem to już na pewno Jack chce cię pocałować! — zawołała Lizzie. — Zobacz, jak na ciebie patrzy. I ma taką śmieszoną minę!

Rozbawiona Bryony westchnęła cicho.

— W tym domu nic się nie ukryje — wymamrotała, a Jack uśmiechnął się szeroko.

— Nie martw się. Postaram się, żeby później nic nam nie przeszkodziło. — Przyciągnął ją do siebie i pocałował, po przyjacielsku i delikatnie, mając na uwadze utkwione w nich oczy Lizzie. Bryony doceniła jego postępowanie. Przy Lizzie zawsze zachowywał się jak należy.

Wyciągnęła rękę do córki.

— No i jak, skarbie? Mikołaj dobrze się spisał?

Twarz dziewczynki promieniała szczęściem.

— Wiedziałam, że da sobie radę. jeśli będzie miał wystarczająco dużo czasu. Wiem nawet, co chcę dostać w przyszłym roku. więc już napisałam następny list.

Bryony spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Ależ skarbie, przecież te święta tak naprawdę jeszcze się nie zaczęły, a ty już myślisz o następnych?

— Myślę. — Dziewczynka z upartą miną pomachała im przed nosem własnoręcznie napisanym listem. — Wiem dokładnie, czego chcę i jeśli będę bardzo grzeczna. Mikołaj mi to przyniesie. Będzie jednak potrzebował naprawdę dużo czasu, bo ten prezent to coś całkiem wyjątkowego.

Bryony wymieniła spojrzenia z Jackiem. Ten, niewiele myśląc, wziął Lizzie na rękę i mocno uściskał.

— W takim razie zdradź nam. co zamawiasz u Mikołaja na przyszłe święta.

Lizzie uśmiechnęła się tajemniczo i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Najbardziej na świecie chciałabym dostać siostrzyczkę. I wiem. że Mikołaj mi ją przyniesie.